362

WACŁAW SIEROSZEWSKI

DARY WIATRU PÓŁNOCNEGO

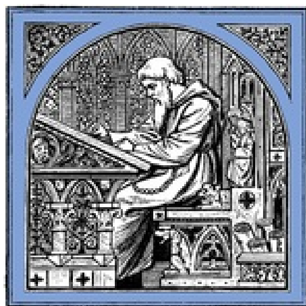
DRUGIE WYDANIE

WARSZAWA — 1936

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

Dary wiatru północnego

Wacław Sieroszewski



Towarzystwo Wydawnicze „Rój“, Warszawa, 1936

WACŁAW SIEROSZEWSKI

DARY WIATRU PÓŁNOCNEGO

DRUGIE WYDANIE

WARSZAWA — 1936

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“

Zakłady Graficzne „FENIKS“, Warszawa

Rok był zły, nieurodzajny, a przednówek taki srogi, że nawet u zamożnych gospodarzy mysz w śpiżarni niebardzo się mogła pożywić.

Wdowa, komornica, mieszkająca na końcu wioski w ubogiej chałupce, dawno już głodowała. A ponieważ lepsze kęski

wtykała zawsze synowi i sama ledwie coś niecoś czasem liznęła, więc od tego niedojadania zaniemogła. Położyła się na ławie i zipie:

— Zaco to nas taka kara boska spotyka!? Czyśmy to nie pracowali? Nie harowali od świtu do nocy?!... Czyśmy długów nie płacili?... Czyśmy ludzi krzywdzili?... Na cudze się łakomili? Oj, oj! Niema na świecie sprawiedliwości!... Niema! Och, och!...

— Nie gadajcie, matulu, nie krzywdujcie sobie... Robili my pięknie, co na nas przystało, to teraz możemy każdemu w oczy śmiało spojrzeć i swego nie popuścić! — pocieszał ją syn, Tomek.

— Niema już co, synku, popuszczać, niema!... Rychło pomrzemy!...

Tomek popatrzał na chorą żałośnie.

— Jak mamy umrzeć, matulu, to poco tę krzynkę mąki w komorze chowacie?

— Dla ciebie, synku, dla ciebie!... Może jakoś do zwiesny zdołasz przedychać... A potem dostaniesz robotę, poprawisz się...

— Nie, matulu, nie zgodzę się na to! Kiedy umierać, to razem!... Przyniosę ja tę mąkę, zagniotę klusek, ugotuję... Najemy się do syta, matulu, a jutro, co Bóg da!... Choć się poweselimy przed śmiercią!... A może się jeszcze wszystko na dobre obróci!... Wróżyła mi przecie cyganka, że będę królem!

— Gdziezaś królem!... Choćby dobrym gospodarzem!...

— Tyle mi do gospodarza, co i do króla!... Dlaczego niemam sobie podchlebić!? Teraz to każdy los swój w swojej garści nosi!... Tylko nie należy żałować mozołu...

— Nie żałowaliśmy, nie żałowali, a co z tego?... — jęczała

chora.

— Więc pójdę, matulu po tę mąkę, co?!

— Ano rób, jak chcesz! Najedz się na ostatek, a potem to mię starą rzuć i w świat idź szukać roboty, bo tu nic nie wysiedzisz!...

Wziął Tomek miskę i poszedł przez sień do komory.

Wiatr zimny marcowy bił w chałupę, jakby się z nią mocował. Strzechę na niej potargał, pokruszył; za węgły, za zręby chwytał, że aż skrzypiały i stękały, jak żywe. Zimno było tak, że Tomkowi w lot ręce zgrabiały. Ale jakoś mąkę z dzieży wytrząsnął na misę, stare ciasto z dna i ścianek pilnie wyskrobał i niesie wszystko do izby zpowrotem. Wtem, kiedy drzwi do komory zawierał, jak nie dmuchnie mu wietrzysko w miskę; mąka niby dym buchnęła mu w twarz, oślepiła, a po chwili, gdy przetarł oczy, już na misce nic nie znalazł — czyściuchna była, jakby wymyta. Wyskoczył ze złości za tą mąką na próg, a wietrzysko mu tam jeszcze czapkę z głowy zwiało, śmieje się, chichoce, gwiżdże na kołkach płotu, na badylach starej wierzbiny... A mąka jego niby biały obłoczek wieje nad grudą, nad błotną drogą.

Zapamiętał się chłopak, zaklął, po czapkę skoczył, schwycił ją, mocno na uszy wcisnął i czerwoną z gniewu twarz do wiatru zwrócił:

— To ci psota!... Rabuśnik!... U najbiedniejszego ostatnie zabierać!

Spojrzał na chatę, która trzęsła się cała niby wystraszona kura, na małe, ciemne okienko, przez które nagle wyjrzała chuda twarz matczyna, i pięścią się po łbie prasnął:

— Zamrze, ani chybił!... Poco ja będę do niej chodził, ją tylko martwił!... Lepiej pójdę w świat za tą moją mąką... Abo

nie!... Nie może być, żeby wolno było ludziom ostatnie zabierać!... Ja do niego, do rabusia, dojdę i choć mu w żywe oczy prawdę powiem!... Choć mu naurągam!... Złodziej wietrzysko i tyle!... Z cudzego żyje! Zabiera, nie pyta... Ale ja mu ta swego nie daruję... Matulę, jak mnie nie będzie, to sąsiedzi może poratują... Nic tu sam nie zrobię!

Zwrócił się twarzą do wiatru, czapkę poprawił, pochylił się i poszedł. Wiatr koło uszu mu gwizdał, podśpiewywał, prześmiewał się, pięściami w piersi go walił, a Tomek nic; łbem powietrze bodzie, a wciąż idzie, choć mu się nogi na oślizłej grudzie raz wraz rozjeżdżają. Zabiera go wiatr to z tej, to z tamtej strony, obraca, poły sukmany aż na głowę mu zarzuca, oczy ślepi, szczypie coraz srożej w policzki, w ramiona, w kolana, a on nic, precz idzie... Usta zaciął, pięści kisnął, z trudem dycha, a idzie. Idzie wprost tam, skąd wiatr wieje, wprost przeciw wiatrowi. Nawet nie patrzy. Raz jeno oczy podniósł i aż mu serce struchlało: chmurzyska okropne się kłębią na niebie, a pod niemi las się kłania od wichru czubami, niby żyto kłosami.

Była już noc, kiedy się nareszcie dowlókł przez zziębłe pola do tego lasu. Okazało się tu cieplej i ciszej; wgórze nad nim, coprawda, gałęzie i leciały stamtąd szyszki i sęki, ale w dole ledwie-ledwie go owiewał zimny dech wichury. Bał się iść w las głęboko, żeby nie zbłądzić, a i w ciemnościach, jak smoła czarnych, tu i tam migały jakieś zielonawe brzydkie podwójne ogniki i poprzez szum boru zasłyszał parę razy stąpania czającego się zwierza.

— Wilki! Trza ogień palić, a to zjedzą!...

Szczęściem hubkę i krzesiwo miał ze sobą. Rychło nazbierał suchych chróściaków, trawy, kory żywicznej, iskier skrzesał i

rozpalił ogieniek. W sam czas, bo już zupełnie blisko w chróściaku brzydko trzasło i rozległo się niby psie mruczenie. Bestje krążyć zaczęły dokoła niego, coraz to błyskając w ciemnościach zielonawemi ślepiami. Paliwa miał mało, choć wszystko wokoło zeskubał, zebrał na ognisko.

— Nic nie poradzi!... Trzeba leźć na drzewo!... — postanowił.

Wybrał gałąź co smolniejszą i, machając nią jak pochodnią, poszedł szukać jakiej poręcznej, rosochatej sosny. Wilki wciąż szły za nim. Bał się wprost leźć na drzewo, żeby go za nogi nie ściągnęły, więc przedtem mały ogień opodal rozniecił i dopiero w jego blasku wgramolił się po grubym pnisku na górę i siadł na wielkiej rososze, jak na koniu. Kołysało go tu, kołysało, jak na morzu. Korona sosny chyliła się to w tę, to drugą stronę, jakby się ot-ot ułamać miała. Skrzypiały sękate gałęzie, jęczał pień, szumiała targana wichrem czupryna igliwia. Zewsząd leciał łoskot, poświst, sypały się szyszki i sęczki... Siedział Tomek na gałęzi niby na rozbujanej szalenie huśtawce, ledwie żywy ze strachu, że się wszystko razem z nim ułamie i zwali wprost w paszczę wilczysków. Ale przyzwyczaił się rychło, spostrzegł, że sosna, choć skrzypi, jednak jest mocna, pasem się do konara przywiązał i niedługo zdrzemnął się.

I śniło mu się, że go matula kołysze, a siwy dziad z ogromnem brodziskiem dmucha nań i śmieje się, aż mu się opasły brzuch trzęsie... Patrzał nań, patrzał, aż jak wrzaśnie:

— A tuś mi, wietrze północny!... Dawaj mąkę!...

A z dołu mu odpowiada:

— Uuu!... uu!... uu!...

Obudził się. Oczy otwiera. Nie rozumie, gdzie jest, lata niby wrona w powietrzu, tam i napowrót wraz z czubem drzewa.

Dokoła szum, jęk, gwizd, a pod nim daleko ciemne rozłogi polne i leśne, pełne siwego świtania.

— Uuu-u-uu!... — znowu doleciało go z dołu.

Spojrzał i odrazu oprzytomniał. Siedem ogromnych, burych wilków siedziało pod drzewem, ostre mordy do góry zadzierało, patrzało nań, jak na dojrzałą ulęgałkę, rychło im w paszcze spadnie, i od czasu do czasu wyło przeciągle. Co tu robić? Jeść mu się chciało, zimno mu było, bolało całe ciało od niewygodnego snu. Eh! Bodaj to u matki w ciepłej chałupie!...

Ale nagle przypomniał sobie smutną, zbolałą twarz starej, wyglądającą za nim przez szybkę, i ogarnął go dawniejszy gniew:

— Przeklęty wiatr północny! Jedlibyśmy sobie teraz właśnie kluski gorące, bo napewnoby z wczorajszego zostało!

Zaczął przemyśliwać, jak wilki odegnać.

Rozejrzał się po sośnie. Duża była, stara, sękata i smolna. Siedział w jej wielkich rosochach jak w gnieździe bocianiem.

Chodziło mu po głowie, żeby wilczyska ogniem postraszyć. Ale jak?... Zaczął odłupywać kozikiem żywicę, korę, lepić gałki. Ulepił wielką, jak pięść, gomółkę, zapalił i gorejącą cisnął na największego kudłacza. Przzlepiła mu się do szerści na grzbiecie. Wilczysko z początku nie zrozumiało, co się stało. Zerwało się i zęby wyszczerzyło. Ale kiedy kudły mu się palić zaczęły, kidy gorąca żywica zaczęła go do żywego przypiekać, zakraczał i dalejże w kółko się kręcić, aby zębami płonącego miejsca dostać. Zbiegli się towarzysze-wilcy, patrzyli na wyskakującego w dymie i ogniu brata, nic nie rozumiejąc, aż wilk potoczył się, któregoś z nich potrącił, z bólu zębami go w bok uciął i zaczęli się gryźć. Inni też dalejże na nich, zachęceni wielkim ruchem...

Lecą kłaki, leci piana na wszystkie strony, a wilczyska kłębem taczają się po ziemi. W tej bijatyce zgasła zduszona smolna gomóła. Pomęczyły się bestje, parę ich ze skomleniem uciekło, ale reszta położyła się znowu na ziemi wokoło drzewa z wywieszonemi ozorami, spoglądając, łakomie na Tomka. Tylko ostrożniejsze pokładły się już dalej, pochowały po krzach tak, że im stamtąd ino krwawe pyski widać było i błyskały zielone ślepia. Nie mógł ich tam Tomek swemi gorejącemi pociskami dosięgnąć. Jeszcze jeden rzucił, ale nie doleciał, upadł na ziemię i zgorzał. Podniosły się wilczyska i dalej odeszły, zupełnie w gąszcz się zaszyły, widział jednak Tomek ze swej wysokości, że są, że go pilnują.

— Niema rady, przyjdzie zmarnieć tu z głodu i ziąbu! — rozmyślał markotnie.

Próbował wołać:

— Olaboga!... ludzie, ratujcie!...

Ale gdzie tam! Szum, rozruch, stękanie w borze od wichury szło takie, że sam swego głosu nie słyszał. Poglądał, poglądał żałośnie na drogę, co się skrajem lasu wiła — może kogo Opatrzność przyniesie!

— Nic nie widać. Kąt głuchy, bór dziki. Kto tu chodzi?! Chyba jaki leśnik... Ale w takie wietrzysko, to i on woli w chałupie siedzieć!

Dopiero pod wieczór coś zaczerniało pośród pola. Widzi Tomek, wilki też w tę stronę pomykają jeden, za drugim, wypełzły na skraj lasu, w jedną stronę wytknęły pyski. Po drodze coś się wolno zbliżało.

— Ee! Niech co chce będzie! Zlezę i jak zacznę prać bestje, to mnie popamiętają!... — myślał sobie Tomek.

Ułamał dwie dobre gałęzie, rozszczepił je, w rozszczepy

wsadził żywiczne gomółki, co mu zostały, naszykował krzesiwo, pas podciągnął i czeka.

— Jak to z pola przyjdzie, to wilki nań się rzucą, a wtedy szusnę na dół!... Może to krowa albo koń, to go będą żreć, o mnie zapomną!...

Ale to nie była ani krowa, ani koń, tylko dwóch żydków. Już ich Tomek dobrze widział, jak szli, zgiąwszy się pod wiatr, a cug im długie chałaty rozwiewał. Jeden dźwigał wielką basetlę, a drugi skrzypce pod pachą chował.

Wilczyska przyczaiły się wśród traw zeschłych i krzów, przywarowały przy samej ziemi. Czekają.

Żal się zrobiło Tomkowi żydków. Krzyczy, woła z całych sił:

— Wilki! Ho, ho, ho! Wilkiii!... Pilnuj!...

Gdzie tam: wiatr głos jego precz w las odrzuca, w szumie i łomotaniu gubi. Widać jednak, że coś tam do żydków doszło, bo się zatrzymali i rozglądają. A wilczyska do nich.

Skamieniały żydki. Nawet głosu nie wydały. Widzi Tomek tylko, że skrzypek smyk z chusty wyciągnął i na wilków go wystawia, a basetlista za basetlę się schował.

— Źle! Zjedzą ich!... — pomyślał Tomek, zsunął się na dół i zaczął swoje pochodnie zapalać. W przeloty między krzakami wciąż spogląda, co wilki robią. Te z początku powoli, a potem coraz prędzej pomykały do żydków.

Wtem zahuczała basetla, zaświegotały skrzypce, urznęła muzyka siarczysta, jak na najbogatszem weselu. Żachnęły się wtył wilki na ten głos, aż łapami zaorały grudę. Wstrzymały się, mordy wytknęły, patrzą, węszą... Nic podobnego nie widziały i nie słyszały w swem wolnem życiu. Ostrożnie otoczyły kołem grających żydków, przysiadły na ogonach,

zbliżyć się nie śmią, słuchają. A żydzi stanęli do siebie plecami i precz tną od ucha obertasy, kujawiaki, mazury... Wszystko głośne, wszystko żwawe, aż w Tomku dusza się śmieje... Wilki paszcze rozdziawiają, mruczą, ale zbliżyć się nie próbują. Jeno kiedy skrzypce bardzo już cienko zawiodą, niektóre z nich aż łapą koło ucha machną i cichutko zawyją...

— Pomdleją im ręce, pomdleją! Pójdę ja na wilczyska, póki czas!... — szepnął Tomek.

Wyskoczył z gęstwiny, dwie pałające pochodnie, jak dwie dzidy, przed sobą wytknął i popędził.

— Oho ho!... Hu ha!... Tu tu tu! Tuj!

Wiatr płomienie pochodni rozdymał, skry z nich leciały słupem, dym czarny walił — nie do człowieka Tomek podobny był, lecz do piekielnego stwora. Obejrzały się wilki, zerwały. Przestały grać żydki; dopiero, gdy Tomek blisko podbiegł, jak znowu utną! Nie wytrzymały bestje, wzięte w dwa ognie, podwinęły ogony i poszorowały w las, szybciej od wiatru.

— Hu-hu-hu!... Tiu-tiu-tiu! — hukał i gwizdał na nie Tomek, potrząsając pochodniami.

— Aj waj! Śmiały pan jest chłopak! Bóg panu zapłać!... W nocy toby nas zjadły.. W nocy to i granie nie pomoże! Niech im się złe przyśni... Pfu! Taki brzydki zwierz! Niech ich gęś kopnie! — przemówił wreszcie basetlista, ciężko wzdychając.

— Ty im, Mojsie, nie życz źle, bo jeszczę wrócą! — wstrzymywał go skrzypek.

— A pan skąd jest, panie chłopiec?

— Jestem z Glinianej.

— Z Glinianej, to daleko, to jeszcze za naszem miasteckiem...

— A kto pan będzie?! Co?

— Chodźcie przedtem do boru, rozpalimy ogień, bo jak się smolaki dopalą, to wilki mogą wrócić!

— Juści, że mogą wrócić! Kto im zabroni, tym szelmom?! Jak one nas nastraszyły... Ja już myślał, że ja umarł... Żeby ich zdusiło!

— My szli do drugiego miasteczka! — przerwał mu ostrożny skrzypek, oglądając się za siebie. — Tam bogaty kupiec, może wy słyszeli, Berek, co zbożem handluje, wydaje córkę zamąż... To bardzo bogaty kupiec... My chciały zarobić... Bez ten wczorajszy wiatr, to my się spóźniły... W basetlę dmie jak w żagiel...

— A wy, panie chłopiec, dokąd idziecie? — spytał basetlista, grzejąc ręce u rozpalonego przez Tomka ogniska.

— Idę, do północnego wiatru!...

— Ny, wolne żarty!... Do którego wiatru?... Do tego co wieje?!

— A do tego!

Żydki zamilkły.

— A jaki pan ma interes do tgo wiatru?... — spytał wreszcie ostrożnie basetlista.

— On nas z matulą skrzywdził! Ostatnią garść mąki wywiał!... Będę żądał zwrotu. Albo co?

Żydki cmoknęły i spojrzały na niebo.

— Wie pan co, panie chłopiec?... Może nas pan lepiej odprowadzi do miasteczka, to my panu za to damy złotówkę.

Tomek pomyślał.

— Nie, nie pójdę z wami... Muszę się śpieszyć... Bo jak przestanie wiać, to jak do niego trafię?... A i pieniądze mi niepotrzebne. Głuchym borem, pustyniami pójdę, poco tam pieniądze, tam nic kupić niemożna...

— Pieniądze zawsze dobrze mieć!

— Lepiej dajcie mi jeść, jeżeli macie, bo nie jadłem od wczoraj od rana!

— Ajaj!... — cmokły żydki. — My wam damy wszystko, co mamy... Wy nas zbawiły... My wam damy białą bułkę i gotowanych jaj, ale niech pan nas do miasteczka odprowadzi!... Tam są mądre ludzie, to panu może krótszą drogę do tego wiatru pokażą!...

— Nie, nie pójdę! — upierał się Tomek. — Jak co robić, to robić! Jak wiele srok za ogon trzymać, to nie zdoli się żadnej. Smolniak wam zrobię, skrzypki macie; machajcie smolniakiem i grajcie! Nie pójdą za wami wilki, nie pójdą!...Prędzej za mną pójdą!...

— I za to niech panu Bóg da zdrowie!... Niech pan sobie pierwej podje... Tu bułka, a tu są jajka, a tu ząbek cebuli... Niech pan je na zdrowie!

Zgłodniały Tomek zajadał, aż mu się uszy trzęsły. Żydki przyglądały mu się z pod oka i szwargotały między sobą.

— Wie pan co, panie chłopiec, że choć te wilki być może za panem pójdą, to niech pan lepiej nas odprowadzi... My panu damy czterdzieści groszy!... Co?... Nie chce pan?... To niech pan nas odprowadzi do karczmy na rozstaju... Do tej karczmy, co w niej siedzi Krzywy Grzela... Pan zna Krzywego Grzelę?... Nie zna pan?... — gadał basetlista.

— On bardzo mądry! On mądrzejszy nawet, niż jeden żyd... — wtrącił skrzypek.

— Co ty mówisz, Mordko?!... On mądrzejszy, niż dwa żydy, niż trzy, niż pół tuzina żydów... — krzyknął basetlista.

— On mądrzejszy od jednego cygana!... — poprawił Mordko.

— No tak! On mądrzejszy od jednego cygana! On wszystko wie, on panu drogę do tego wiatru pokaże... A myby sobie razem z panem szli... Coby panu szkodziło, żeby my z boku szli?... Droga szeroka!... A tam dalej do miasteczka, to myby sami poszli... Tam dużo ludzi mieszka, dużo kolonij po drodze, dużo psów... Tam wilki nie chodzą nawet w nocy... — dowodził basetlista.

— A stamtąd idzie droga, którą wszyscy chodzą do wiatru... Jak strzała na północ... Pan, panie chłopiec, będzie musiał i tak na tę drogę wyjść... tylko lasem przez gąszcze... To pan jeszcze dwa razy dłużej pójdzie, niż drogą!... — dogadywał skrzypek.

Tomek poglądał na huczący od wichru las, na ciemne niebo, z którego zaczął deszcz kropić, i dał się namówić. Zrobił parę pochodni, zapalił jedną i poszli powoli błotnistą drogą. Żydzi wciąż wypytywali się go o wiatr północny i jaki on ma do niego interes.

Tomek bąkał ni to, ni owo, bo sam dobrze nie wiedział.

— Nie mam interesu, ino krzywdy mojej dochodzę!... — bronił się.

— Ny, a co pan zrobi, panie chłopiec, jeżeli tam wkońcu tego wiatru nie będzie nic... tylko taka sobie wielka, pusta dziura, z której dmucha i dmucha? — spytał ciekawie basetlista.

— A to ją zatkam!... — mruknął gniewnie Tomek.

Żydki znowu między sobą poszwargotały po żydowsku.

— To już ja pana poproszę, panie chłopiec... — zaczął po chwili skrzypek — żeby pan całkiem tej dziury nie zatykał... Niech pan z łaski swojej małą dziurkę zostawi... Ja mam konia i czasem sobie jeżdżę, szmaty kupuję, to mu dobrze jest, jak trochę dmucha, muchy i komary ogania!

— Niech pan uważa, panie chłopiec, że jak zupełnie nie będzie żaden przewiew na świecie, to zrobi się wielki zaduch!... — wtrącił basetlista. — a od tego może być jaka choroba!

— No i wiatraki przestaną mleć!... — dodał skrzypek.

Nie wiedział Tomek, co im odpowiedzieć, ale ustąpić nie chciał, więc milczał. Było mu jednak z nimi coraz gorzej, słabło w nim postanowienie. Na szczęście już widać było karczmę, w której miał się zostać.

Karczma była mała, brudna, odrapana. Stały w niej stoły i stołki pod ścianami. Szynkwas był zastawiony butlami z wódką, blaszankami i kieliszkami. Na talerzach leżały kiełbasy, ser, śledzie, obwarzanki. Za szynkwasem stał szynkarz Grzela, mrużył swoje krzywe oczka i skubał kozią bródkę... Kiedy żydzi i Tomek od izby weszli, nie ruszył się, bródki nie przestał szczypać, czekał, aż bliżej podejdą.

Żydzi zaczęli opowiadać mu z wielkim hałasem swoją przygodę z wilkami. A tak jeden przez drugiego krzyczeli, że aż z sąsiedniej świetlicy wyszła gruba jak fasa szynkarzowa, i, założywszy ręce pod fartuchem, słuchała ich z otwartemi ustami.

— Aj, aj!... To była taka muzyka, taka muzyka, że nietylko wilki, ale i ludzie mogliby jej słuchać i dać za nią wielkie pieniądze!... — krzyczał basetlista.

— Już nam ręce zaczęły mdleć, już te wilki zaczęły bardzo ziewać... — dodał skrzypek.

— Wtem wyskonił z lasu ten pan chłopiec... — wołał basetlista.

— Ogień mu leci ze wszystkich stron... — podpowiadał skrzypek.

— Moiściewy!... Moiściewy!... — wzdychała szynkarzowa.

— Krzyczy, gwizda, gorzej niż ten wiatr...

— Wilki ogony pod siebie...

— uciekają... Aj-waj!...

— Moiściewy!... Moiściewy!... Rety!...

— Za to my tego pana chłopca tu przyprowadziły... żebyście wy, Grzelo, dali mu dobry nocleg i dobrze jeść i pić... A my za wszystko zapłacimy... Niech mu Bóg da zdrowie!

— Niech mu się wszystko wiedzie! — gadał basetlista.

— Bo widzicie, Grzelo, ten pan chłopiec, to on idzie do północnego wiatru — objaśniał cicho skrzypek.

— To wy mu jutro drogę pokażecie, najlepszą, najkrótszą drogę!... — huczał basetlista.

Grzela zerkał z pod oka na Tomka, który siadł sobie koło drzwi na rogu ławy, wyjął kozik i zaczął obstrugiwać na laskę młody dębczak, jaki z lasu przyniósł. Główkę laski wygładził, sęczki poobrzynał, porobił z nich dobre guzy, że kij wyglądał, jak mała, tęga maczuga. Machnął nią i pomyślał, że teraz to i bez ognia mógłby się niezgorzej od wilków opędzać.

— A skądżeście to, panie podróżny?... — spytał szynkarz.

— A ze świata! — odpowiedział niechętnie Tomek, któremu Grzela wcale się nie spodobał.

— A czegóż wam, panie podróżny, dać? — pytał dalej z uśmiechem Grzela.

Tomek zmieszał się, gdyż pieniędzy nie miał; poprosił więc o kawałek suchego chleba z solą. Ale żydzi zaczęli krzyczeć, że tak się nie godzi, i nalegali, aby sobie nie żałował, więc rzekł nieśmiało:

— Kiedy tak, to dajcie jajecznicy z kiełbasą i szklankę herbaty!...

— A piwa to się nie napijecie?

— Nie. Drogę mam ciężką, sprawę niebezpisczną, a od piwa, to się głowa kiwa!... — odrzekł rezolutnie.

Pochwaliły go żydy, ale Grzela krzywo się uśmiechnął.

Przespał się w karczmie Tomek, wypoczął i nazajutrz skoro świt wybrał się w dalszą drogę.

— Co wam się tak śpieszy do tego północnego wiatru? Nie ucieknie!... Od stworzenia świata wiał i dalej wiać będzie... Nic mu nie zrobicie!

— Zrobię, czy nie zrobię, ale niech choć wiem, zaco mię taka krzywda spotkała?... Niech choć się dowiem?...

— Żeby was tylko co gorszego po drodze nie spotkało?

— Co ma mnie spotkać? Nic nie mam, prócz tego kija... A na niego i na moje połatane bucięta i wytartą sukmanę to się chyba nikt nie połaszczy...

— Różnie bywa w górach... Bo stąd to niedługo góry pójdą!... — odpowiedział wymijająco szynkarz.

Tomek podziękował za dobre słowo, wziął węzełek z bochenkiem chleba, który mu żydzi kupili, i poszedł.

Droga, którą mu Grzela wskazał, szła borem głuchym, ciemnym, szumiącym; stawała się coraz węższą, coraz mniej torną. Niedługo znikły ślady kół, zostały jedynie przyprasy od płozów sanic, na których w zimie tędy drzewo wożono. A wkrótce i to znikło. Droga zamieniła się w ścieżkę, wijącą się wśród olbrzymich drzew, których korony ginęły gdzieś w zielonym zmroku. Szumiała tam wgórze, tak jak wczoraj, wichura, ale wdole było cicho, jak w kościele. Ogromne pnie, odziane korą spękaną, oropiałą od żywicy, porosłą siwemi liszajami, ani drgnęły. Stały równo, prosto, jak z kamienia. Niktby nie pomyślał, że ich czuby tańczą tam w wietrze,

zmagając się z nim, tłuką gałęziami o siebie. Jedynie głuchy, jednostajny łoskot, przelewający się tam jak fale morskie, oraz sęczki i szyszki, lecące na dół, mówiły, że burza nie ucichła.

Rychło, jak przepowiadał karczmarz, ziemia zaczęła się wydymać we wzgórki, garbić wznosić do góry. Wydawało się, że bór chce wstępować na niebo. Zrobiło się jeszcze ciemniej, jeszcze ciszej, a przez rzadkie otwory wśród drzew przeglądały tu i ówdzie straszne, poszarpane skaliska. Ostre złomy i wielkie głazy coraz częściej zastępowały drogę Tomkowi, a ścieżka wśród nich wiła się jak wąż i traciła się miejscami doszczętnie. Jagodniki wielkie jak krzaki, próchniaki zwalonych pni, porosłe paprociami, pokryte powojem, przegniłe i splątane jak pakuły trawy przeszłoroczne, kałuże zastałej w jamach wody, błotniste mokradła, strumienie, huczące od spienionej wody — utrudniały bardzo podróż.

Już parę razy Tomek zatrzymywał się, zjadał chleba, zapijał wodą, przegryzał trochę dla smaku zeszłorocznemi, zwarzonemi mrozem jagodami, których tu było dużo, bo ich nikt nie zbierał. Robiło się coraz mroczniej, ale czy to było od gór, czy od chmur na niebie, czy od zbliżającej się nocy, tego Tomek wywnioskować nie mógł, gdyż nic nie było widać wokoło, prócz nieprzeliczonych ciemnych pnisków, szarych głazów, siwych mchów i liszajów, kudłatych jak niedźwiedzie wykrotów oraz rudej, iglastej ściółki na ziemi. Nawet podszycia krzaków, paproci, traw i jagód w tym głuchym, wysokim borze rosło już mało. Przyszedł nareszcie Tomek do skalnej ściany, okrutnie stromej i takiej wysokiej, że jak spojrzał na jej szczyt, w głowie mu się zakręciło. Kiedy rozważał, jak ją okrążyć, od której strony zajść, żeby kierunku nie zmylić, gdy wypatrywał skąd wiatr wieje, po dygocących

na wysokościach krzach i trawach, okrzyknął go ktoś niespodzianie zbliska:

— Hej, człowieku, a czego haw szukacie?!

Drgnął Tomek, spojrzał wokoło, nic nie dostrzegł.

— Do góry pojrzyjcie, do góry!... Po ziemi nosem nie orajcie... Tu som góry, som skały!... — rozśmiał się ten sam głos opodal.

Zadarł Tomek głowę, szukał w powietrzu, ale nikogo nie znalazł.

— Wszelki duch pana Boga chwali! Człowiek jesteś czy zwid, pokaż się albo ustąp maro!... Ja cię nie ruszam!...

Rozległ się śmiech, do krzyku jastrzębia podobny.

— Czego mam ustępować, kiej nie ja do ciebie, ino ty do mnie przyszedł!... Nie ptak jestem, cobym po wietrze fruwał... Pojrzyj po ludzku, poszukaj!...

Dopiero wtedy Tomek spostrzegł tuż prawie przed sobą powyżej na gzemsiku, na skalnej półeczce, człowieka w czerwonych portkach, w kierpcach rzemiennych, w czarnej jak sadza koszuli, siedzącego z opuszczonemi nad przepaścią nogami. W rękach trzymał wpoprzek kolan ciupagę, a z pod czarnego serdaka, włożonego futrem na wierzch, błyskał szeroki, suto mosiądzem nabijany pas. Z obu stron ciemnej jak miedź twarzy, z pod okrągłego kapelusza z sokolem piórem spływały mu na ramiona długie, czarne włosy.

Skłonił mu się grzecznie Tomek; nieznajomy głową mu odkiwnął.

— Proszę ja pięknie pana, czy nie wiedzą, którędy tę górę najlepiej obejść?... — spytał Tomek, nie wkładając czapki na głowę.

— Tej góry nijak obejść nie można. Ona od kraju do kraju

ziemi w niebo się spiera!

— Więc dalej jakże iść!!

— Ci, co tu przyszli, to dalej już nie chodzą!

— A jeżeli kto ma interes?

— Co za interesy mogą mieć w takich skałach, kamieniskach, w takich turnicach i wirchach, w takich śnieżycach i lodach nietopniejących... Tu my strażujem i nikogo dalej nie puszczamy!...

Tomek głowę czapką nakrył i zamyślił się.

— A może puścicie?! Co wam z tego panie, że wstrzymacie takiego, jak ja, chłopowinę?! Przecie ja wam nic nie zrobię!

Nieznajomy rozśmiał się.

— A czyj będziesz i skąd?

— Z dolin jestem, Tomek, syn wdowy komornicy, co mieszka na końcu wsi!...

— A dokąd idziesz?

— Do północnego wiatru!...

Nieznajomy głową kiwał, jakby wszystko dobrze już przedtem wiedział, wreszcie splunął przez zęby i rzekł:

— Może i puścimy. Chodź, chłopcze, hań upłazikiem (zboczem góry), jak perć (dróżka) wiedzie do góry...

Począł się Tomek drapać po skalnem rumowisku przed siebie na urwisko. Zziajał się, zmęczył, ledwie zdołał wejść na okrutne opoki, zwalone prostopadle jak ściana. Kiedy się dostał na gzyms, góral już go czekał, sparty na ciupadze.

— Idź przodem! — powiedział, puszczając chłopca przed sobą.

— Dokąd pójdę?! Żartujecie, panie!... Tędy i kot nie przejdzie!...

— Do północnego wiatru chcesz, a bitej drogi się boisz!... —

rozśmiał się nieznajomy.

Przemógł się Tomek, poczerwieniał i poszedł, choć w głowie mu szumiało i zdawało się, że wąziutki gzyms upływa mu z pod nóg. Coraz stromsza, coraz straszniejsza przepaść błękitniała wdole. Po krótkiej chwili las w niej wyglądał już niby drobny mech. Srogie, czarne kamieniska sterczały w powietrzu nad niemi i pod niemi jak rogate byki. Pięli się wciąż, czepiając się pazurami i nogami szczelin. Tam, gdzie gzyms się obkruszył, została tylko szczerba powietrzna, bezdenna, sina jak lód. Wieszali się na skałach jak pająki. Czuł Tomek, że śmierć ciągle czyha pod nim, że dość niezręcznego ruchu, pośliźnięcia się nogi, niedobrego chwytu ręką, a runie z wiszaru i zostanie po nim na dnie tylko krwawa plama. Dodawało mu odwagi, że góral szedł za nim spokojnie, niby nic.

Nareszcie dostali się na szerszy przyczółek skalny, który wisiał nad przepaścią jak ganek. Kilka 1imb rosło pośrodku, czepiając się głazów krętemi korzeniami; pochylona nad krawędzią brzoza zwieszała w przepaść swoje lśniące warkocze. Dalej drogi nie było. Nieznajomy gwizdnął zcicha i z za wielkiego głazu, ze szpary wysunęła się kudłata, ciemna głowa.

— Hej! To ty, Wojtek?... Bywaj, bywaj!

— Właź... Czego stoisz?! — trącił nieznajomy w ramię Tomka.

— Gdzie mam włazić?

— Kładź się na czworaki, obaczysz!...

Usłuchał Tomek i dostrzegł pod głazem głęboką pieczarę, w której krwawo błyskało światełko.

Wypełzł na kolanach, a za nim góral, który go prowadził.

Niewiele dalej przejście rozszerzyło się na tyle, że mogli wstać i weszli do obszernej jaskini, czerwonej od blasku płonącego pośrodku ogniska. Nad ogniem wielki kocioł wisiał na łańcuchu i dymił się smakowicie. Dokoła na skórach końskich i bydlęcych, na gałązkach kosodrzewiny leżało dwunastu chłopów. Wszyscy kudłaci jak ten, co Tomka przywiódł, wszyscy ciemni z oblicza z krętemi wąsiskami, w czarnych, wysmolonych koszulach, w portkach czerwonych albo białych pięknie modro i kraśno wyszytych, w ciżmach rzemiennych. Wszyscy mieli pasy na sobie szerokie, mosiężnemi guzami nabijane, a za pasami pistole, miedzią okute. Jedni popijali wino ze złotych dzbanów, inni kurzyli fajki srebrem wykładane, jeszcze inni grali w karty, a jeden leżał zosobna na niedźwiedziej skórze i na gęślikach brzdąkał. Niebardzo się na przybyłych nawet oglądali. Dopiero gdy Tomek przy ogniu stanął, uniósł się z posłania ten grajek i spytał, bystro wpatrując się w chłopaka:

— A skądżeście, Wojciechu takiego świstka wzieni?

— Sam przyszedł, zdołu. Ceper[1] som!...

— Widzę, co som ceper. A co chcom?

— Wiatru północnego szukajom!... — rozśmiał się Wojtek!

Wtedy zwolna pozostałe chłopy poruszyły się i ogień kołem obsiadły.

— Wiatru szukajom?... A co z nim zrobiom?

— Może wiatrak majom?.. A może tak sobie dmuchanie lubiom?

— A może im pod nosem nie pachnie, więc ciągu potrzebujom...

— A może przez dziureczki w butach świstać chcom?..

Śmiały się chłopy, szczerzyły białe jak u wilków zęby. Tomek nie odpowiadał, ale w piersiach zaczęło mu się kotłować.

— Wiatraka nie mam, jestem biednej komornicy syn. Ale ukrzywdzić się nie dam i do wiatru po swoją krzywdę idę!...

— Cichajcie, chłopy!... Cościk dzieciak niezgorzej gada! — wstrzymał towarzyszy chłop z gęślikami.

— Jaka że ci się krzywda stała?

Tomek opowiedział porządkiem, jak ostatnią garść mąki wiatr mu porwał, ostatnią nadzieję na wyzdrowienie matki, na przetrwanie przednówka zniszczył, rozwiał.

— Więc mnie, panowie, puśćcie i drogę mi pokażcie, bo mi pilno!...

Wstał i kłaniał im się do ziemi czapką. Podobał się chłopom. Patrzyli nań z życzliwym uśmiechem.

— Co prawda, to prawda!... Chwali ci się, że krzywdy swej nie darujesz... I wiatr ten jest. Dmucha z za grani, chmurzyska przewala, wśród lata kurniawą[2] nam tu nieraz sypie... I myby się bardzo nie gniewali, gdyby kto jego za brodę wzion, ale droga utrapiona, trudna, nie zdolisz, chłopaku, nie zdolisz...

— Nie zdolę, to zginę!... I takbym zginął we własnej chałupie, jak marny robak!

— Zginąłbyś, albo i niebardzo. A tu pewnikiem zginiesz!...

— Nie straszcie go, nie straszcie!... — wmieszał się znowu chłop z gęślikami. — Bo prawda, że tyle we człowieku wagi, co w sercu zuchwałości... Świat szeroki, ale niektóremu za ciasny, w chałupie ciepło, ale niektórego nie grzeje!... Tomek cię zwać, chłopcze?!... Co? — zwrócił się łagodnie do Tomka. — Tak ty siądź u watry (ognia), ogrzej się, podjedz se, wyśpij

się, a jutro jak tam ma być, uradzimy!...

Nazajutrz słyszał przez sen Tomek, że się w pieczarze ruszają, że naczyniami i żelaziwem pobrzękują, ale taki był zmęczony i tak mu się spać chciało, że się tylko głębiej w kosówkową ściółkę zagrzebał. Aż go szarpnął ktoś za rękaw:

— Wstawaj, chłopcze, czas śniadać, bo my idziemy!...

Usiadł Tomek na pościeli, oczy przetarł. Dokoła ogniska z miskami cynowemi, z łyżkami srebrnemi siedzą wczorajsze chłopy okrutne, jedzą, a jeden wielką warząchwią im z kotła smaczną polewkę nalewa. Jemu też naleli sporo, podjadł sobie, siedzi cicho, czeka, patrzy.

Zbierają się chłopy w drogę, biorą z kątów rusznice, rogi z prochem wieszają przez ramiona, za pasy wkładają pistole, noże wielkie sterczą im u boków, a w rękach u każdego ostra połyskująca ciupaga.

— Wojsko jakieś, czy leśniki... — myśli sobie Tomek.

Dopiero przed wyjściem zawołał go ten góral z gęślikami, co był u nich naczelnikiem, i mówi:

— My tak uradzili, Tomek, coby ty do tego wiatru północnego nie chodził, a ostał się z nami. Będziesz nam kucharzował. A jak się nam podobasz, to my już tam twojej matuli za tę zginioną mąkę zapłacimy... Masz tu w beczkach mięso solone, słonina wisi na haku, kartofle w łubiance stojom, mąka, kasza w skrzyniach, sól, cebula, papryka, rozmaita przyprawa też jest... Gotuj nam jedzenie, jak chcesz, jak umiesz, byle tłusto, byle dużo... Żeby zaś do ciebie tutaj ani zwierz ani człowiek nie wlaz, — to my cię głazikiem przywalimy... Sprzęty pomyj, poczyść, kolebę (pieczarę) zamieć, a w tamten jej kąt daleki nie chodź, nie szukaj, czegoś nie zgubił, bo zginiesz!..

Powiedział i wyszedł, a za nim reszta, wszyscy zbrojni, w kapeluszach okrągłych z sokolemi piórami, w cuhach[3] białych albo burych, — spiętych mosiężnemi klamrami pod brodą. sunęli za sobą, wyjście takim wielkim kamieniem, co ledwo go dziesięciu chłopów ruszyło.

Markotno się zrobiło Tomkowi. Na dworze słońce świeci, drzewa szumią, a do niego z pod kamienia przez szpary jeno małe, zielone promyki dnia się dostają. Ciemno w pieczarze, dym się po niej tłucze i czerwono połyskuje blask ognia.

Podumał, podumał Tomek, westchnął i wziął się do roboty. A że był z natury pracowity i staranny, robota zaczęła mu się w ręku sporzyć i rychło zapomniał o swej złej doli. Pieczarę podmiótł, śmiecie w kąt na kupkę zebrał, skóry powytrząsał, kosówkę porządnie poskładał. Potem z wielkiej, wkopanej w ziemię beczki nabrał wody, mięso solone przepłukał, kartofli naskrobał, pokrajał, wrzucił wszystko do kotła, cebuli, pieprzu, bobkowego liścia dodał i ogień pod kotłem podsycił, aby się gotowało. Tymczasem wziął się do zmywania, do czyszczenia statków.

Zupa dawno była gotowa i bulgotała cicho na małym ogniu, przykryta pokrywą; dobrze okraszona kasza w wielkim saganie również prychała parą; smakowity zapach rozchodził się po całej pieczarze — wszystko było oczyszczone, poszykowane, a gospodarze jak nie szli, tak nie szli. Ulał sobie trochę w miseczkę Tomek, zjadł, rozejrzał się po pieczarze, zobaczył, że już promienie słońca nie przeświecają z pod głazu, domyślił się, że późno, że jest ku wieczorowi.

Chodził po pieczarze, oglądał ściany, ale do ciemniejszego kąta, skąd miała przyjść mu zguba, podchodzić nie śmiał. Z

tego czekania znużył się, sen go zmorzył, położył się przy ogniu i zdrzemnął. Obudził go hałas i zimno. Zerwał się, obejrzał się zdumiony wokoło. W ciemnościach ledwie żarzą się węgle pod popiołem i nic nie widać, ino ogromne brzuszysko miedzianego kotła. Przy wejściu chrobotają i zbreczą żelazem ludzie, siłując się z głazem. Przypomniał sobie Tomek, gdzie jest, straszno mu się zrobiło, coprędzej suchego chróstu na ogień dorzucił. Wychodzą jeden za drugim górale na jasny płomień, wory ogromne z siebie zrzucają, broń na miejsce stawiają, cuhy zdejmują. A za nimi, przez otwarte wejście, nisko migocą gwiazdy na nocnem niebie. Posiadali na pieńkach, na kamieniach, pokładli się na skórach. Znój mieli na twarzach, błoto, kurz na ubiorach, a niektórzy i krew...

— Dawaj jeść, chłopcze! — krzyknął naczelnik.

Tomek każdemu misę cynową postawił, łyżkę srebrną położył, srebrny kubek winem nalał, wielką warząchwią z kotła smakowitą zupę jął rozlewać.

— A gdzie jeden? — pyta, widząc, że tego Wojtka, co go przyprowadził, niema.

— Nie twoja rzecz!... Zabieraj pustą misę, zabieraj!...Był, a teraz go niema!... — mruknął chmurnie naczelnik.

Cicho jedli, winem popijali.

Potem rozwiązali swoje wory i jęli wyjmować stamtąd takie śliczności, ubrania cudowne jedwabie, płótna, szkarłaty, srebrne i złote monety, łańcuchy, kielichy... bicze łyskliwych, dużych jak największy groch pereł... Jęli sypać na kupy złote dukaty,, srebrne talary, drogie kamienie samogory[4], grające kolorami tęczy... Ale wiele rzeczy było popsutych, połamanych, pogiętych, krwią zbroczonych...

Przeraził się do reszty Tomek, bo zrozumiał, kto są ci ludzie, zrozumiał, że zabrali go zbójnicy.

Przywarował cichutko, statki zebrał, myje je, kubki, gdy zawołają, duchem winem napełnia, a sam żałośnie spogląda na tę krew, na poszarpane odzienie i... na pustą, czystą miskę Wojtka!

Markotno mu, serce mu bije, ale z ust pary boi się puścić, tylko spogląda na chmurnego naczelnika, jak siadł w kole zbójników, i ci przed nim zdobycz na kupki kładą, pieniądze i drogie kamienie sypią, dzielą się...

Potem kazał starszy zbójnik Tomka wyprowadzić z pieczary. Wyszedł z nim jeden góral; pilnie go pilnuje, żeby nie podglądał, nie podsłuchiwał, żeby stał opodal na skalnym przyczółku nad przepaścią. Patrzał na dół Tomek, gdzie w różowem świtaniu mgliły się lasy, srebrzyły rzeki, gdzie droga, hen, daleka wiła się dnem doliny, a dalej jeszcze otwierał się pozłocony już słońcem, ubrany zbożami, łęgami jego świat nizinny, rodzinny, szeroki, i serce w nim z tęsknoty zadrżało:

— Kiedy, kiedy tam będę?! Może nigdy!

Wtem zbójnik do niego przystąpił i za ramię targnął:

— Czego tam źrały (oczy) wytrzeszczasz, haw patrz!

Wskazał mu na szare turnie jedna nad drugą spiętrzone, czerwone jak krew od zorzy. Usłuchał Tomek, ale zato uszy ku pieczorze nadstawił. Cicho tam.

— Pewnie swoje skarby chowają w tym ciemnym kącie! — pomyślał Tomek.

Pokrótce wezwali ich do wnętrza.

Siedzą znów zbójcy koło ognia, wino piją, fajki kurzą, a niektórzy kładą się spać.

— Kładź się i ty, chłopaku, jutro będziesz miał dużo roboty,

spracowani ludzie, dobrze jeść będą! — powiedział mu starszy.

Nazajutrz już Tomek sam pierwszy wstał, jeszcze zbójniki spały. Zaraz ogień rozpalił, poszedł kocioł wodą nalewać...

Co za dziwo?... Beczka wody świeżej pełna, nowa fasa solonego mięsa przytoczona, nowy połeć słoniny na haku wisi; ziemniaków w łubiance, mąki, kaszy w skrzyniach z czubem!...A przecież nie widział, żeby kto wychodził i co nosił z dołu?!

— Musi tu być gdzieś ich skład!... — pomyślał Tomek. Ale pozoru po sobie nie daje, żeby o czem myślał, kartofle skrobie, stara się, uwija, podaje, co każą, warzy, pilnie pilnuje.

Napracował się przez cały dzień, gorzej niż wół w jarzmie, gdyż zbójniki dzień cały jadły, piły i wciąż pokrzykiwały na niego:

— Chłopiec, wina!

— Chłopiec, piwa!

— Chłopiec, a prędko obiad dasz?!

— Chłopiec, ognia!

— A podaj mi gęśliki, co tam leżą!...

— A podaj nam karty!...

— A podaj kości!

— Dorzuć drew na watrę!... Co się ciemno pali?!...

— A skocz, popraw, bo dymi...

— A nie przydym jedzenia, uważaj, bo baty!

Chodzi, biega Tomek, niby ten motyl, usługuje, a zbójniki wylegują się na swoich skórzyskach niedźwiedzich, grają w karty, grają w kości, na gęślikach, wino ciągną, a i jeszcze się z niego nieboraka prześmiewają:

— Hej, ceper, grubo-nogi!... Buciskami stukasz, niby podkuta koza!...

— Chybaj, chłopcze, chybaj, po powietrzu fruwaj!... Nie po dolinach chodzisz, a w skałach!...

— Ha, ha, ha!... Niech cię wiatr północny nosi!

Milczy Tomek, milczy, a serce w nim drży.

Kiedy wreszcie wieczorem padł znużony na swoje posłanie, usnął odrazu, zatracił się w pamięci, niby kamień, rzucony do głębokiej wody.

Śni mu się, że jest w swej chałupie u matuli, że głodna matula chudą ręką po głowie go pieści i mówi:

— Byle, synku, do roboty w polu przetrwać, do wiosny!...

A robota wesoła na otwartych polach, z ludźmi, z przyśpiewkami i gadkami! Oj! Oj! Nawet źli sąsiedzi, co mu nieraz ubóstwo wymawiali, wydali mu się w tym śnie niewoli teraz dobrzy i mili!...

Westchnął przez sen.

Kiedy to ich zobaczy? Pewnie nigdy!

Obudził się. Ciemno, ogień zgasł, zbóje chrapią a nisko przez otwór wejścia blada noc patrzy i wolne gwiazdy z dalekiego nieba migają.

— Ech!...Wyjść i po tym gzymsiku uciec! — rozważa. — Na nic! Złapią!...Zaraz złapią!Po nocy to prędko nie pójdę po takim djabelskim mostku, co go czasem i wcale niema!...Zabłądzę!... Lepiej poczekam, wymiarkuję, wypatrzę!

Nazajutrz od samego świtu to samo:

— Tomku, ogień nieć! Tomku, obiad!... Tomku, podaj to, a podaj tamto!

Stara się Tomek, pary z ust nie puści, skargi nie powie, nie jęknie, nie westchnie, choć ręce go od dźwigania bolą, choć podeszwy go od skakania palą. Nawet go naczelnik zbójnicki pochwalił:

— Jesteś chłopak grzeczny, obrotny. Jak podrośniesz, zbójnikiem cię zrobię!

Cztery dni leżeli tak zbójnicy w swojej pieczarze, aż piątego wróciło dwóch, co chodzili na wywiady, poszeptali na stronie z hersztem, pogadali między sobą i nazajutrz po obiedzie wybrali się znowu na rozbój.

Znowu głazem wielkim przywalili wyjście.

Został Tomek sam, znowu mu słońce świeci ze dworu tylko przez małe szparki z pod głazu.

Kiedy już kroki i głosy zbójników zupełnie ucichły, porwał się z miejsca Tomek i zaraz chciał skoczyć do kamienia, żeby go odwalić, ale się pomiarkował:

— Jeszcze wrócą, to mnie zabiją!...

Poczekał, poleżał u ognia, choć wszystko w nim od niecierpliwości dygotało, potem wziął gałąź, co najgrubszą, wpełznął w otwór i pod kamień zaczął ją podkładać, do góry go ważyć, wreszcie kopać pod nim dół. Ale rychło dokopał się do szczerej skały, drąg złamał, a samego kamienia ani ruszył. Z rozpaczy zaczął go nogami, co sił, pchać, zaczął go rękami bić i targać, aż mu krew z za paznokci trysnęła...

— O, dolo moja, dolo! — jęknął wreszcie cicho i do pieczary wrócił.

Chodził po niej, chodził, jak błędny. Niepodsycany ogień ledwie migotał. Wreszcie opamiętał się Tomek, przysiadł u ogniska, chróstu nań dorzucił i myśli:

— Ha, cóż! Poczekam, aż mnie zrobią zbójnikiem!...

Serce się w nim wzdrygnęło, jak te krwawe plamy sobie przypomniał, te podarte, potargane odzieże, jak sobie pomyślał, że będzie musiał śpiących ludzi po nocach mordować, cudzy dobytek, cudzą pracę palić i brać...

— Nie!... Za nic na świecie!... Ucieknę!...Wypatrzę! Wynajdę ich komorę, gdzie skarby chowają!... Może tam mają proch... Pewnie go mają!... Proch pod kamień podłożę, to go rozsadzi... Nie zdążę teraz, to na przyszły raz!... Choćby się cała góra na mnie miała zapaść, nie będę tu siedział!...

Podpełzł znowu do wyjścia, kamienie porozrzucane, ziemię skopaną wygładził, zarównał, przysłuchał się dobrze, czy zbójnicy czasem nie wracają, potem wziął pęk łuczywa, którem sobie, po pieczarze chodząc, nieraz zbójnicy świecili, i ostrożnie poszedł do zakazanego kąta.

Miał tam niby zginąć, jak mu obiecał naczelnik zbójników, więc stąpał Tomek ostrożnie, oglądał uważnie każdy kamień, każdy załom.

Loch zwężał się, zniżał i przechodził w ciasną norę, przez którą z trudem można się było chyłkiem przecisnąć. Wiało stamtąd zimno, wilgoć. Zdala dolatał cichy, jednostajny szmer, podobny do kapania i sączenia się wody. Tomek zawahał się przez chwilkę, czy iść dalej. Dziura była tak niewielka, że musiał przyklęknąć. Oddychał z trudnością w spartem, zatęchłem powietrzu; łuczywo syczało, pryskało i groziło co chwila, że zgaśnie. Musiał je nieść bardzo starannie, czuwać, aby nie dotykać niem wilgotnych skał, które, jak zęby strasznej jakiej paszczy, zwieszały się coraz niżej i niżej dokoła Tomka. Czerwony ogieniek porzuconej pieczary ledwie błyskał gdzieś za nim z tyłu; wreszcie zniknął, zakryty zniżającym się poziomem lochu. Zrobiło się ciemniej, niż w najciemniejszą noc. Tyle tylko widział Tomek przed sobą, co oświecał mu nikły płomyk łuczywa... Występowały jedna za drugą górowate, pokręcone fałdy i złomy kamienne, gotowe napozór obsypać się niezwłocznie i pogrzebać na zawsze śmiałka.

Wreszcie skaliska tak się ścisnęły dokoła, iż myślał Tomek, że dalej nie przepełznie, że się omylił, że na złą drogę trafił, że istotnie wpadł do swego grobu. Obrócić się już nie mógł, a odwrót tyłem po śliskiem dnie lochu, opuszczającego się coraz stromiej na dół, był niezmiernie trudny. Woda gdzieś w dole szemrała coraz wyraźniej.

— A co będzie, jeżeli tam jest studnia, czarna dziura, do której nagle wpadnę!... — pomyślał Tomek ze zgrozą.

Sklepienie lochu podwyższyło się nagle, jakby rozpękło, ale zato boki tak zbliżyły, że pozostała jedynie mała szparka między ginącemi w ciemnościach brzuchami skał. Jeszcze mógł się cofnąć, choć z ogromnym mozołem, jeszcze miał zapas łuczywa i sił, lecz wspomniał czekające go lata niewoli, poniewierki i przyszłość zbójecką, plamy krwi ludzkiej na porabowanych szatach, pogięte, połamane w bójce naczynia, Wojtka, który już nie wrócił i zginął pewnie śmiercią haniebną...

— Niech, co chce, będzie! — westchnął, wślizgując się już bokiem w wąziuchną szparę.

Przecisnął się tak kilkanaście łokci, nie widząc nawet dobrze, co ma pod nogami i przed sobą, gdy nagle drgnął: wyciągnięta z łuczywem jego ręka trąciła o skałę, ogień zasyczał i zgasł. Tomkowi wydało się, że czarna paszcza skały zamknęła się nagle nad nim. Był uwięziony w szczelinie, rozkrzyżowany między dwiema opokami.

— Tu mój grób! — pomyślał. — Miał rację przeklęty herszt zbójecki!

Ale jakoś nie umierał. Przeciwnie, lżej mu było oddychać i z góry wiały nań jakieś ożywcze, przyjemne powiewy. Daremnie jednak oko wytężał, ciemność gęsta, niezgruntowana otaczała

go zewsząd. Spróbował macać wyciągniętą, naprzód ręką nad sobą i pod sobą. Wszędzie napotykał chropawą, zimną, wilgotnawą skałę. Widocznie doszedł do końca lochu.

— Trzeba wracać! — pomyślał z goryczą.-A jeżeli oni już przyszli? Zabiją mnie, ani wątpić!...

Z wielkim mozołem cofnął się znowu do szerszego miejsca lochu, skrzesał ognia, zapalił łuczywo i uważnie zaczął oglądać ściany. Nie było wątpliwości, że tędy chodzili ludzie. To tu, to tam widać było rysy jakby otarte twardemi przedmiotami, czerniał kopeć od łuczywa, czy też smolniaków.

— Pocoby oni tu chodzili!? Tam dalej musi być jakaś droga!... — rozważał Tomek.

Zjadł placek, który wziął z sobą, liznął wody, kapiącej ze skał, pomyślał, pokalkulował i znowu popełznął poprzednią drogą. Nie wydała mu się już tak długa, jak za pierwszym razem. Poznał już jej garby, nierówności, wgłębienia i korzystał z nich, aby wygodniej przejść. Wydało mu się, że loch jakby poszarzał. W szczelinie pilnie baczył, żeby mu łuczywo nie zgasło, a gdy dopełznął do końca, zaczął sobie świecić nad głową, skąd wiał lekki ciąg i gdzie wyczuwał niejasno jakby jakieś przestworze, jakiś pobrzask, nikły, jak najlżejsza mgiełka poranna. Płomyk gorzał tu jaśniej i kołysał się. Przy jego blasku dostrzegł Tomek w górze coś, jakby czarny otwór komina, a obok wbite w skałę dwa kółka żelazne. Wtedy ostrożnie przełożył łuczywo, płonące ponad głową, z prawej ręki do lewej i począł się wgórę drapać. Wkrótce trafił mimowoli nogą na rodzaj stopni, wyrąbanych w skale, i poszło mu łatwiej, nawet wcale dobrze...

— Gdybym wiedział, tobym odrazu mógł wleźć!... — pocieszał się wesoło.

Rychło znalazł się u wejścia do jakiegoś blado przeświecającego z wnętrza korytarza. Jeszcze krok i stanął zdumiony i oczarowany.

Znajdował się w ciemnej jeszcze ale obszernej jaskini, wiodącej, niby przedsionek, do cudnej, białej sali, nasiąkniętej niebieskawem światłem. Widział wybornie całe szeregi białych filarów, to skłębionych głowicami jak chmury, to strzelistych jak niebotyczne drzewa.Wśród nich wiły się cudne skamieniałe girlandy białych liści, kwiatów, gałęzi. Zdołu śmigały ku nim niby zamarzłe fontanny z śniegu i lodu, tryskały kamienne krzewy, zwieszały się pęki marmurowych traw i powojów. I końca, kresu nie było tym ślicznym, nieruchomym widmom. Oko ginęło w ich szeregach, nieprzliczonych jak lodowate pniska drzew w zimowym, zaśnieżonym lesie. A wszystko przesnute było łagodnym, błękitnym blaskiem, niby poświatą miesiąca, sączącą się niewiadomo skąd, gdzieś z góry przez niewidzialne otwory...

Tomek błądził jak we śnie wśród widmowych sklepień i kolumn. Biały, gruby żwir wapienny trzeszczał mu pod nogami, a w ręku słabo połyskiwało niepotrzebne łuczywo.

Cicho tu było, ale niezupełnie. To tu, to tam dźwięczały srebrzyste szmery i pluski, które łączyły się z sobą w ciche szepty, błagania i westchnienia, tułające się w tych marmurowych gąszczach, niby modlitwy duchów zaczarowanych. Niezadługo Tomek trafił na wielki, biały sopel, z którego ściekała wielkiemi kroplami woda na lśniącą lodowo bryłę, i zrozumiał, skąd pochodzą te głosy. Napił się wybornej, zimnej wody i trochę z czaru otrzeźwiał. Musiał myśleć o sobie i śpieszyć się, żeby wrócić do zbójeckiej pieczary przed powrotem zbójców. Zrozumiał, że tułać się po

tym skamieniałym lesie można bez końca. Więc co rychlej, dopóki jeszcze drogę pamiętał, wrócił zpowrotem, aby odszukać ślady ludzi.

— Przecież tu muszą chodzić! Inaczej pocoby kółka wbijali?!

Istotnie u wejścia, świecąc sobie łuczywem, łatwo znalazł wydeptaną kierpcami góralskiemi drożynę i, idąc nią, dostał się niebawem do groty tak pięknej, że znowu ogarnął go dreszcz zachwytu.

Gdzieś z wysoka, przez jakieś niewidzialne pęknięcie, krętemi drogami spływał na dół snop światła, rozsianego na złoty pył. Białe jak kładzione ze skrzącego szronu słupiska, obłoki nawisłych sklepisk kamiennych, koronki sopli, gęstwy powikłanych skamielin gorzały tęczową łuną. Lśniący opar, niby jakaś woda promienna, stał w pieczarze i wypełniał ją do najdalszych zakątków. Światłość wciąż falowała, chodziła jak widmo po ścianach, to mierzchła, to zapalała się, niewiadomo dlaczego i od czego, pewnie od chmur, przysłaniających gdzieś tam na górze przenikające tu słońce.

Zapomniał Tomek, gdzie jest, co go czeka stał pośród pieczary, zapatrzony w cudowne granie kolorów, gdy wtem krzyk ludzki, straszny, przeszywający, przebił znagła ciszę i jak obuch uderzył w struchlałe serce chłopaka.

— Człowieku!... Człowieku!

Włos mu się zjeżył na głowie, obejrzał się trwożnie i, nie widząc nikogo, zaszeptał pobladłemi ustami:

— Wszelki duch!... Duszo pokutująca, czego żądasz?...

— Nie uciekaj!... Podejdź bliżej!... Nie jestem duszą pokutującą... Żywą jestem istotą!...
Chodź, chodź!... — zaszemrał cicho, słodko, przejmująco głos

melodyjny.
— A gdzie cię szukać!?. — spytał Tomek, wciąż drżąc jeszcze.
— Tutaj!... Idź wprost przed siebie do samej ściany, gdzie głaz wielki leży, tam zobaczysz mą rękę wyciągniętą...
Przemógł się Tomek i, ściskając mimowoli jak broń wiązkę zabranego łuczywa, poszedł we wskazanym kierunku..
Ale długo nic nie dostrzegał i dopiero przed samą ścianą zobaczył nagle wysuniętą ze szczeliny śliczną, białą jak mgła rękę, wiejącą palcami w powietrzu. Stanął znów przerażony, niepewny, czy człowieka, czy dziki zwid ma przed sobą. Wtem ręka znikła, a w otworze coś błysło i rozległ się ponownie przejmujący szept.
— Chodź, chodź!... Ty nie rozbójnik jesteś!... Poznałam to odrazu... Ale skąd przyszedłeś i co tu robisz?
— Od zbójników idę, schwycili mnie, kazali kucharzować... Sami poszli na zbój, a mnie zamknęli... A panna kim jest? — spytał ostrożnie, przybliżając się i zapuszczając wzrok w szparę.
Usłyszał, jak odstąpiła parę kroków od kamiema, jak zachrzęścił drobny piasek pod jej lekkiemi stopami.
— Chodzi! Nie zwid, a więc żywy stwór!... — pomyślał i już śmielej przylgnął okiem do otworu.
W takiej samej jak główna pieczara świetlicy tęczowej, tylko mniejszej, stała pośrodku śliczna, młodziutka dziewczyna. Biała szata, złotym przepasana pasem, spadała jej aż do stóp, obutych w śliczne, maluchne pantofelki. Złote włosy rozsypały jej się po plecach, szafirowe oczy z pod ciemnych rzęs patrzały z trwogą i prośbą na migającą w otworze twarz Tomka. Białe jak mgła ręce wyciągnęła nagle do

niego.

— Słuchaj, nie uciekaj odemnie!... Mnie też oni schwytali... Mnie też kazali kucharzować, brudy po sobie sprzątać, ale nie mogłam, nie chciałam... Wtedy tutaj mnie zamknęli... Wyprowadź mnie stąd!... Uciekniemy... Już rok tu siedzę!...

— A pocóż cię trzymają?

— Nie wiem. Raz mówią, że mnie w niewolę sprzedadzą do dalekich krajów. To znowu powiadają, że jak dorosnę, to mnie ich herszt weźmie za żonę... A ja boję się ich, boję... ich!... Wyrwij mnie stąd, wyrwij!... Po oczach poznaję, żeś inny, żeś dobry... Będę służyć u ciebie, będę pracować! Tylko wypuść mnie na świat boży... Widzę go tyle tylko, co przez to maluchne okienko, co tam świeci naprzeciwko! Jak tam ślicznie... Jak zielenią się lasy, jak słońce wschodzi i zachodzi... Śpiewają ptaki... Czasem motyl aż tu do mnie na wyżyny zaleci... Siądzie na kamyku w cieple, a na skrzydełkach ma napisane jakieś znaki cudowne... Woda szumi w dole, szumią lasy, pachną... Ach, weź mnie, wyprowadź stąd!... Tak mi nudno, tak tęskno, serce boli... przykładam głowę do krat w oknie... Takbym poleciała, poleciała z tym motylem nad tą doliną złotą w ciepły, pszeniczny kraj... A ty pocoś tu przyszedł?

— Ja, panienko, szedłem do... wiatru północnego.

— Do wiatru północnego!? To mój ojciec! Czego od niego chcesz?...

— Skrzywdził nas, resztkę naszego dobytku zabrał, rozwiał...

— Tak, tak: on tak zawsze!... Śmieje się, krzywdzi ludzi, żartuje... Dlatego porzuciłam go. On stąd daleko, daleko za granitowym polem na śnieżnej górze... Uwolnij mnie, a pokażę

ci drogę!

— Dobrze, panienko, spróbuję!...

Podparł Tomek szerokiemi plecami głaz, którym zawarta była świetlica królewny, wytężył się, aż mu nogi do kostek weszły w piach, ale kamienia nie poruszył. Zaszedł z drugiej strony, uchwycił za dolną krawędź rękami, dźwignął, że aż mu krew o mało oczami nie trysła, ale kamień ani drgnął... Próbował go odwalić od ściany, nie dał się... Zaczął się oglądać za jakim drągiem, żeby go podważyć — wszędzie był tylko piach i opoka. Wtem królewna, która nasłuchiwała u zakratowanego w głębi okienka, zawołała:

— Uciekaj!... Wracają!... Słyszę na dolinie głosy!...

— Jakże, przecież dzień!... — powiedział markotnie Tomek.

— To nic, bywa, że wracają i we dnie... Już zpowrotem do pieczary nie zdążysz, uciekaj w tę stronę... Uciekaj, uciekaj, bo cię zabiją, a o mnie nie zapomnij i wróć kiedy... Wrócisz?..

— Wrócę, wrócę!... Tylko jakże ja ucieknę stąd, kiedy dokoła góra?...

— Idź, idź przed siebie, szukaj po ścianach czerwonych znaków. A tu pod ścianą jest zbójnicki skarb... Weź stamtąd ubranie nowe, kierpce całe, ciupagę, raczki żelazne, worek naładuj sucharami i suszonem mięsem... I uciekaj, uciekaj... bo cię zabiją!... A jeżeli mnie nie zapomnisz, to przyjdź pod to okienko moje na dolinę i zagwiżdż... Zrzucę ci co na znak, że jeszcze czas... Jeżeli, jeżeli... zechcesz, jeżeli trafisz... istotnie... do mojego ojca, to mu powiedz, że jestem tutaj... żeby ci pomógł!... Uciekaj! Już są pod skałą... Zanim wejdą, zdążysz... A nie zapomnij wziąć ze sobą smolniaków, bo tam dalej ciemno...

Patrzał Tomek, patrzał na dziewczynę, jak się rzucała od

okienka ku niemu, blada, przerażona, i nie mógł od otworu odstąpić. Dopiero kiedy wysunęła rękę i odepchnęła go, szepcząc strasznym szeptem:

— Uciekaj!...

Chwycił jej dłoń, ucałował, uścisnął i skoczył pod wskazaną ścianę, gdzie istotnie, w tęczowej poświacie, stały beczki i skrzynie pełne złota i drogich kamieni, pereł, rozmaitych naczyń i sprzętów. Rozmaita broń leżała i wisiała na kołkach albo stała wsparta o ścianę; bławaty i futra drogie, odzież i obuwie rozmaite wisiały na wieszadłach i sznurach. W ławach pełno było mąki, kaszy, cennego, przejrzystego jak lód ryżu, pełno suszonych owoców, przypraw rozmaitych, jak u najbogatszego króla. Solonego mięsa i ryby znalazł całe becze. Połcie słoniny, długie na pół wieprza, wisiały rzędami.

Tomek wprost głowę stracił od tej obfitości. Ale szept królewny „uciekaj!... śpiesz się!...“ poganiał go. Schwycił kierpce, ciepłą cuhę na ramiona zarzucił, kapelusz z piórkiem, zamiast podartej czapki, na głowę wsadził, ciupagę stalową, co lepsza, wybrał, raczki[5] lekkie w samą miarę dla siebie. Potem wór naładował do wierzchu sucharami, mięsem suszonem, szybko zapalił smolniak, jakich było tu dużo przygotowanych z wosku z żywicą, parę ich jeszcze za pas zatknął, jeszcze coś niecoś z rzeczy potrzebnych przy worze utroczył, skoczył do królewny, która wciąż stała, nasłuchując u zewnętrznego okna, spojrzał do jej więzienia, na jej miłą postać, krzyknął:

— Bywaj zdrowa!... Czekaj!... Powrócę!... Chyba, że zginę!...

Poczem szybkim krokiem pobiegł wzdłuż bladych ścian, na których krwawiły się czerwone krzyże, i zginął w lesie białych

skamielin.

Szedł szybko, jakby mu u nóg wyrosły skrzydła, nie czuł ciężaru na plecach. W uszach dźwięczała mu drżąca prośba królewny, a w sercu miał słodki żal.

— Już teraz to pójdę do wiatru północnego czy przez ogień, czy wodę, czy przez skały lodowe! Musi mi przecie dopomóc!... — myślał, śmigając zakrętami pieczary, sam do wiatru podobny.

Rychło jednak skończyły się strzeliste, białe kolumnady. Opadła na dół ponownie chmurna powała brudnych skał. Groty stały się coraz niższe i coraz ciemniejsze. Wreszcie dostrzegł w ich końcu czarną paszczę lochu, podobną do tej, jaką przebył zrana. Powiew zimnej zgnilizny przejął go do kości. Zatrzymał się, aby sprawdzić czerwone znaki na ścianie, i wtedy usłyszał nagle za sobą podejrzane głosy i chrzęst osypisk, obsuwających się pod mnogiemi stopami. Nie namyślając się, runął w przejście. Znowu noc otoczyła go, obstąpiły ściany skaliste, oślizłe od wilgoci i pleśni. Znowu ciasne przełazy nie dawały dostatecznie tchu piersiom. Starał się iść cicho i wciąż nasłuchiwał, co się dzieje poza nim, czy zbliżają się głosy pościgu... Lecz głosy nagle ustały.

— Może ich zatrzymała, zagadała królewna!? — myślał z otuchą.

Natomiast z każdym krokiem wzmagał się przed nim jakiś głuchy łoskot i ciąg powietrza nieledwie że mu gasił pochodnię. Drapał się wytrwale po skalnych osypiskach, prześlizgiwał szczelinami, coraz niżej i niżej. Huk wzrastał, już grał jak grzmot. Zatrzymał się, aby zrozumieć, co to może być, lecz jednocześnie usłyszał ostre zbyrknięcie żelaza po kamieniach, jakby stuk upuszczonej ciupagi, i zerwał się jak

jeleń. Byli niedaleko. Wydało mu się, że są tuż za nim.

— Nie dam się żywy! — szepnął, ściskając swój toporek.

Nie ustawał jednak w biegu. Aż znalazł się tuż u wielkiego wodospadu, zlewającego się z pod wysokiego stropu groty, z piętrowego urwiska w czarną, niezgłębioną otchłań. Ogłuszony rykiem i impetem wirów patrzał i oczom nie wierzył na czerwony znak, widniejący wysoko na skale, ale już pod cienkiemi strumieniami skrajnej wody...

— Więc tam droga?... Niepodobna!...

A jednak znak błyskał z pod wodnego szkliwa, wyraźny jak płomień. Z trwogą zerknął za siebie Tomek i dostrzegł liczne ogniki, migające jak świece pogrzebalne w dalekim korytarzu przejścia... Wspomniał matkę, królewnę, świat wolny, rzucił pochodnię do wodospadu i zaczął się gramolić na zlane wodą złomy. Zdawało mu się, że pęd powietrza i wody zwieje go lada chwila w przepaść jak piórko... Pełznął wolno, ostrożnie, wypatrując lepszą drogę w zielonawem świetle, przeświecającem z za wodospadu niby z poza brudnej, niezmierzonej szyby!... Dotarł nakoniec do samego krzyża, dalej zaczynały się lecące odmęty... Obejrzał się. Zbójnicy już byli w pieczarze, już go dostrzegli i, grożąc ciupagami, wrzeszcząc coś, czego od huku wodospadu nie słyszał, biegli ku niemu. Tomek pochylił się ku pędzącej wodzie i wtedy dojrzał, że pod wydętym fartuchem wodospadu, tuż u skalnego progu, którego się zwalała rzeka, przeciegnięty był łańcuch żelazny, a pod nim wąska kładka drewniana. Więc ciupagę za pas wraził, mocno rękami łańcuch ujął i sunął na kładkę... Rzeka łukiem wygięta przelatała mu tuż nad głową, deszcz wodnej kurzawy i zimne strugi oblewały go zewsząd,a pod nim warczała niezgłębiona przepaść. Ale Tomek nie zważał,

łańcucha się mocno trzymał i szedł, wciąż szedł, stawiając stopę koło stopy. Wreszcie wyskoczył z pod wody na brzeg, gdzie go jasny nagle ogarnął dzień. Nie miał czasu jednak rozglądać, skąd on się wziął, gdyż poza wodną kurzawą na drugim końcu kładki zabłysły liczne światła. Wtedy Tomek schwycił oburącz kładkę i starał się ją zepchnąć w wirzyska. Nie było to łatwo; ciężka, oślizła belka nie ustępowała. Omało sam nie pośliznął się i nie spadł w czeluście. Aż porwał w rozpaczy wielki głaz i cisnął go na kładkę. Pochyliła się, podskoczyła i wyważyła z gniazda; naówczas, wisząc na łańcuchu, kopnięciami zaczął ją spychać w odmęty. W sam czas zdążył to zrobić, gdyż w okienku przejścia ujrzał pochyloną nisko nad skałą wąsatą twarz zbójeckiego herszta, który silił się opadającą kładkę zatrzymać. Ale było już zapóźno, belka chybnęła się i poleciała w mrok przepaści. Jednocześnie błysnął ogień na tamtym brzegu i nad głową Tomka przeleciała kula z ostrym świstem, przebijającym się nawet przez huk wodospadu.

— Oho!... Strzelają!... — zawołał chłopak wesoło, zaskakując za piany wody.

Czuł się bezpieczny. Stanął na złomie i obejrzał się za siebie na ogromny wyłom pieczary, gdzie na dolinę, usłaną skalnem rumowiskiem, rzucała purpurową łunę zorza wieczorna. Kryjąc się za zrębami głazów i skał od kul zbójników, wygrażających mu pięściami z tamtego brzegu wodospadu, przemknął się Tomek szczęśliwie na próg pieczary i ruszył na dolinę, aby poszukać spokojnego noclegu.

Głazy, złomy, skały. Szare, zielonawą pleśnią powleczone, czarnemi i siwemi mchami porosłe, rdzawo-żółtemi porostami poplamione. Całe morze kamieni. Pięła się ich ciżba pod niebo;

właziła na wysokie przełęcze, jak stado nieprzejrzane owiec, wpełzała pod zębate turnie. Nigdzie drzewka, nigdzie łączki zielonej. Wszystko podeptały, stratowały zwały kamienne. Ledwie tu i ówdzie krył się między dwoma złomami krzaczek kosodrzewiny, albo kępka trawki wytryskała ze szpary. Nikłe to, krzywe, blade, jakby nastraszone, tuliło się do ziemi i pełzało, chowając przed straszliwym wichrem gałązki we wgłębieniach i dołkach ziemi.

Poznał Tomek po przejmujących podmuchach wiatr północny. Ucieszył się. Ale oglądanie okolicy odłożył do jutrzejszego dnia, gdyż ciemno zrobiło się i mgły zimne spływały już z wirchów na dolinę. Bał się w dodatku wystawać długo na widocznych cyplach, żeby go nie dojrzeli zbójnicy, którzy mogli obejść górę dookoła i ścigać go. Zatracił się coprędzej wśród morza głazów, znalazł dwa kamieniska, wspierające się o siebie jak buda, tak że tworzyły małą „kolebę“[6], wpełzł tam, zjadł suchara i kawał suszonego mięsa, cuhą się owinął, wierną ciupagę przy boku położył, głowę wsparł na worku i usnął. Ze strachu przed zbójeckim pościgiem nie rozpalał ognia nawet, choć było zimno.

Obudziło go rano jakieś wycie okropne, gwizdanie, chichoty. Myślał, że to zbójnicy znaleźli go i tak się cieszą, ale skoro wysunął ze szpary głowę, przekonał się, że to wichura tak po dolinie hasa i na zrębach głazów wygrywa. Wyszedł więc ze swego ukrycia, worek wyciągnął, i, siadłszy w miejscu od wiatru zacisznem pod ścianą wielkiego złomu, zaczął swoje skarby przeglądać.

Ucieszył się, gdyż choć chwytał rzeczy wczoraj W wielkim pośpiechu, ale zabrał prawie wszystko, co mu było potrzebne,

nawet mały kociołek do warzenia wody, nawet siarniczkę kościaną z siarką do niecenia ognia w pluchotę, w deszcz albo w zawieję. Zaraz więc stare, podarte ubranie zrzucił, czystą koszulę oblókł, wdział nowe spodnie białe, sukienne, z czerwonemi wyszyciami koło kieszeni i na dole nogawic, nogi czystemi płótniankami owinął, omotał je z wierzchu sukiennemi onucami, na to wdział kierpce i rzemieniami mocno je do nogi przywiązał. Opasał się naostatku pasem szerokim nabijanym, co aż pod pachy sięgał. Przy pasie zawiesił nóż, krzemień, ogniwo, siarniczkę, a w trzos pasa wetknął rozmaite drobiazgi, na to serdak barani czarny włożył, cuhę na ramiona zarzucił, a głowę przykrył kapelusikiem z piórkiem sokolem. Zrobiło mu się ciepło, raźno, wesoło. A i to dobrze, że z worka ubyło dużo ciężaru. Stare swe ubranie w kolebie pod kamieniem schował, posilił się naprędce i spojrzał po kotlinie.

Kamieniska i skały co bliższe ledwie-ledwie przeświecały ciemno przez białą, gęstą jak mleko mgłę, którą wiatr po kotlinie pędzał, rwał, burzył, niby pianę. Nic widać nie było, choć czasem mignął złoty cień tu i tam od słońca, które snać w górze pogodnie świeciło. Lecz Tomek nie potrzebował bardzo rozglądać się po okolicy. Droga jego wiodła tam, skąd wiatr, a wiatr wiał ze szczytów. Więc skierował się ku niemu, bacząc tylko, by na wielkie stromości nie wchodzić, a iść dnem doliny.

Szedł wesoło, zbyrcząc po kamieniach kutą ciupagą. Nawet sobie cicho zagwizdał, ale wspomniał nagle bladą twarz królewny, jej szept przejmujący, jej smutne spojrzenie i umilkł. Miejscami, gdy musiał po wielkich głazach skakać, wiatr go rwał i na dół spychał, lecz Tomek nogi miał jak kozica i serce rzeźkie, więc się nie dał.

Tak przez dzień cały szarpał się z wichrem i darł się na oślep w białych tumanach po głazach, po osypiskach, żlebami[7] coraz wyżej i wyżej. Aż przed wieczorem stanął na poszczerbionej jak piła przełęczy ponad mgłami, już w jasnych błękitach, gdzie słońce gorzało jak smocze oko. Poza Tomkiem leżała płaska dolina, powleczona niby strugami wody lecącą obrzedłą mgłą, a przed nim na dolinie okrągłej, jak kocioł, mgła wrzała, jak opar nad gotującem się kotliskiem. Wielkie jej słupy, niby dym pożaru, chodziły w rówień z najwyższemi turniami, mieszały się z wiszącemi tam chmurami i otulały góry białemi welonami, trzepoczącemi się w wietrze niby muślin. Ledwie-ledwie przeświecały w nich ciemne jądra skał. Ale największa mgła, obłok zsiadły i aż rudy od gęstości stał na północy. Z pod niego to, niby trzęsąca się siwa broda, spływał nieustanny wodospad tumanów, toczył się poprzez doliny, przewalał poprzez górskie grzebienie i rozlewał daleko, szeroko, na słoneczne, ciepłe krainy, niosąc zamróz, pluchotę i deszcz.

— To on!... — krzyknął z gniewem Tomek i ciupagę w tę stronę wyciągnął.

Wicher jakby go usłyszał, ryknął tak, że zdało się Tomkowi, iż zadrżała góra, na której stoi. Mgły potargał, podarł na strzępy, część cisnął wysoko, część wdusił w przepaście i Tomek dojrzał tuż pod swojem urwiskiem śliczną dolinę, gdzie wśród różowych od słońca głazów pawiły[8] się błękitne jeziorka przejrzystej wody. Jednocześnie z podartych mgieł wychylił się czarne, potwornie potrzaskane turnice a między niemi lśniąca łapa lodowa. Wystawiła daleko nad doliną swe paluchy śniegowe, zwieszała je ciężko z wysokiego zrębu, z

pod sinej chmury, kryjącej pół nieba. Niby pazury lały się z jej sopli szkliste siklawy[9].

Tomek spuścił się na dolinę i, trafiwszy na kilka krzaczków kosodrzewiny, zanocował przy nich. Nie bał się już pościgu, więc ogień rozniecił i ugotował sobie smacznej zupy z suszonego mięsa z sucharami.

Ranek wstał jasny, modry i różowy, a taki zimny, że powietrze uciskało na skórę, oddech, piersi i oczy, twardo jak szkło. Tomek zbudził się cały drżący, usypany szronem niby cukrem. Nazbierał coprędzej korzonków i patyczków, trawinek, mchu, ogienieczek rozpalił, zupę ugotował i pokrzepiony, rozgrzany ruszył na śniegi, na lody, podwiązawszy raczki pod podeszwy. Aby sobie ulżyć, część rzeczy zostawił pod znacznym kamieniem. Szedł ku chmurom, których górny wieniec kołysał się, kłębił i ciężko przesuwał, jakby go kto od wnętrza targał gwałtownie. Od czasu do czasu odrywał się od nich ogromny obłok i staczał w dół po lodowcach, gasząc po drodze blaski i rzucając wielki, siny cień na doliny.

Tomek powoli dźwigał się ku szczytowi, wypatrując, skąd wieją owe nagłe podmuchy, które przelatały od czasu do czasu nad lodowcami, wzdymając ostrą kurniawę. Gdy tak oglądał się, stojąc na czarnej skale, przebijającej środek lodowca, gwałtowniejszy podmuch przerwał obłoki i na chwilę wynurzył się z pośród nich ogromny szczyt lodowy, wzdymajacy się samotnie wśród bezgranicznych niebios. Nic tam już nie było ponad nim.

Chłopak struchlał. Czyżby aż tam dojść potrzebował? Co gorzej, że nie wiedział dobrze, gdzie szukać owego wiatru, gdyż naogół było cicho, a krótkie wichry uderzały coraz to z

innej strony. Wydawało się nawet Tomkowi, że wieje gdzieś z dołu. Kiedy tak rozważał, wielki siwy oblok napłynął i ogarnął go. I zaraz wionęło zimno, śnieg grubemi płatami zaczął walić, zamieć wić się i pomiatać dookoła. Znowu obległy chłopaka gwizdy, wycia i groźne, burzliwe sapania. Tomek schował się pod skałę i czekał. Istotnie zamieć przeszła, chmura przepłynęła, ale i wiatr ustał.

— Cóż to znaczy?... Czyżby północnego wiatru nie było, a rodziły się takie oddzielne wichry z obłoków, z lodu i słońca? W takim razie od kogo szukać wynagrodzenia swej krzywdy? Z którym gadać? Każdy powie, że nie on!... Tyle trudu i zachodu przepadłoby więc nadarmo?... Ależ nie!... Nie może być!... Przecież królewna wyraźnie mówiła o swoim ojcu, wietrze północnym, potężnym władcy i wielkim szkodniku!... Trzeba szukać!...

Zarzucił Tomek worek na plecy i znowu powlókł się po lśniących, śnieżnych polanach ku górze. Zrozumiał, że błąkać się dookoła szczytu może bez końca, że trzeba coś przedsięwziąć, wytknąć sobie jakiś kierunek. Jeszcze pilniej zaczął zważać na podmuchy wiatru, na drogi, po których pełzną obłoki. Niedługo spostrzegł, że jednym żlebem one walą zwartym, prawie nieprzerwanym korowodem, że nad tym żlebem wzdymają się od czasu do czasu wielkie kłębiska mgieł, jakby tam wulkan wybuchał. Doszedł go też szum, wycie przeciągłe, jęczenie, jakby wodospadu. Przyśpieszył kroku i rychło znalazł się na krawędzi. Ale cofnął się z przerażeniem, gdyż nie żleb to był, lecz niezgłębiona czeluść lodowa. Tam to spadały wodospady chmur i, gnane strasznym wichrem, leciały niby siwa rzeka, wrąc, kłębiąc się, pryskając pianami śnieżnych zamieci aż powyżej przepaścistych

krawędzi. Strach było spojrzeć w ten pęd, mrok, w tę bezdeń ryczącą, jak tłum nieprzeliczony rozszalałych, białych niedźwiedzi.

— On!... — szepnął Tomek. — Ale jak zejść?!

Gdyby miał linkę, to spróbowałby się spuścić, choć dna przepaści nie widać było wśród mgieł. Lecz linki nie miał. Pozostało poszukać jakiegokolwiek możliwego zejścia. W górę wąwozu niewarto było chodzić, gdyż tam napewno było i stromiej i wyżej; trzeba więc poszukać na dole. Ostrożnie poszedł krawędzią huczącej rozpadliny, zaglądając często do jej wnętrza, aby nie przepuścić czasem odpowiedniego miejsca. Nareszcie trafił na małą, poprzeczną szczelinkę, po której można się było spuścić na dół, opierając się rękami i nogami jak w kominie; dno szczelinki zasypane było spadłą lawiną, której białe kopisko wcinało się daleko w pędzące główną przepaścią obłoki i roztrącało je jak przylądek. Rąbiąc ciupagą szczeble i dziury dla rąk i nóg, dostał się Tomek po uciążliwej pracy na dno i odrazu ogarnął go i omało nie zwiał w ciemnościach przestworza pęd wichury. Ciemno było od obłoków, zamieć siekła mu niemiłosiernie twarz, ślepiła oczy śniegową kurzawą, ryk wichury ogłuszył go i oszołomił. Ręce nawet w rękawicach grabiały, a ciało przenikał nielitościwy ziąb. Omackiem odszukał Tomek w ścianie lodowej małe wgłębienie i wtulił się w nie, aby ogrzać się trochę, posilić i przyjść do siebie.

Kawał suszonego mięsa i suchary dobrze mu zrobiły. A tymczasem przyzwyczaił się do huku, oswoił z pędem burzy. Potarganą odzież na sobie poprawił, pozapinał, podwiązał i schylony pod wiatr pobrnął popod wiszarami[10] wąwozu, tuląc

się do nich i czepiając za każdy załom, każdy występ. Wichura wciąż tężała, w miarę jak postępował, ale Tomek zaciął się i zwolna, ale nieustannie posuwał naprzód. Wreszcie zamajaczył przed nim jakiś ciemny otwór wielki i sklepiony jak farny kościół. Dokoła nad nim osypiska i lawiny zwieszały swe straszne cielska, wielkie zadmy śniegu zagradzały doń wejście. Lodowe sople stały po bokach jak słupy lub zwieszały się jak frendzla. Chmury ogromne spadały z góry i, porywane dmącym z pieczary wichrem, leciały rozczesane na cienką przędzę dżdżu i szronu. W samym progu ledwie Tomka impet nie porwał i nie uniósł. Szczęściem w porę w śnieg się zawalił i stoczył się po zaspie. Tam w dole wiatr mu już nie dokuczał, wiał gdzieś górą. Podniósł oczy i dostrzegł przedewszystkiem przed sobą grube nożyska w białych śniegowych butach, dalej płaszcz biały śniegowy, spływający wspaniale do ziemi, a wyżej jeszcze pierś potężną, na której kędzierzawiła się ogromna, drgająca w burzliwym oddechu broda. Okalała ona twarz wielką, surową, z lodowatemi oczyma, ze śniegowemi brwiami, z lodową koroną na głowie. — Białe włosiska brody wielkoluda porywała co chwilę wichura, wyrzucała daleko z pieczary i mieszała z lokami pędzącej wąwozem zamieci. — Starzec siedział na tronie lodowym, w lodowym wnęku, nad którym zwieszały się potworne lawiny, zastygłe piany wodospadów, całe zamarłe siklawy. Nic nie robił, nie ruszał się, jeno patrzał zamyślony przed siebie i dyszał.

Tomek długo mu się przyglądał ze swego śniegowego schroniska. Znajdował pewne podobieństwo między cudnemi rysami królewny i tem srogiem, z lodu wyciosanem obliczem. Ale królewna była dobra, miała słodkie spojrzenie i cudowny uśmiech.

— A niech co chce będzie! — pomyślał.

Wygrzebał się z zaspy, przepełznął w bok, gdzie nie dochodziło już wcale groźne tchnienie wiatru i powstał.

— Wietrze północny!... Wietrze!... — zawołał całą mocą głosu.

Starzec drgnął i zaczął szukać oczyma.

— Tutaj, u twoich nóg! — krzyknął Tomek.

— Ha! Ha!... Jaki mały?! Jak jedno z moich dzieci!... Skądeś się tu wziął?...

— Człowiek jestem, ze świata przychodzę!

— Trudna podróż, długa podróż!... Śmiały jesteś... A czego chcesz?...

— Krzywdę mi uczyniłeś, Wietrze Północny... Ostatnią garść mąki porwałeś nam biednym i głodnym...

— Ha, ha, ha!... Ha, ha, ha!... I poto przyszedłeś?... — śmiał się coraz głośniej wiatr północny.

Jego broda i poły śniegowego płaszcza poczęły trząść się i trzepotać, jak zimowy bór w wichrze. Mroźne powietrze zadrżało boleśnie dookoła Tomka, choć stał na uboczu, a cuha jego za furkała w burzliwych podmuchach jak skrzydła ptaka.

— Czego się śmiejesz!... — oburzył się chłopak. — Mało ci, żeś nas skrzywdził, jeszcze chcesz mnie zabić?

— Garść mąki?! Garść mąki?!... Ile to ja codzień okrętów topię? Ile pól piachem zasiewam? Ile drzew łamię po puszczach? Ile warzę kwiatów, ile owoców w ogrodach otrząsam? Ile plonów przedwcześnie zamrażam? Ilu tworom życie ukrócam?... A ten, ten dudek o garść mąki się upomina. Wyjdź, wesołku, przed oczy moje, niech cię zobaczę...

Tomek wcale się nie kwapił wyjść przed straszne wietrzysko, któreby go zabić mogło jednem tchnieniem.

— Cóż, że mała nasza krzywda, ale zawsze krzywda!... — krzyknął niecierpliwie.

— Co mnie ona obchodzi!... Na to jestem!... Dyszę, muszę dyszeć!... A czy tchnienie moje wiatraki wasze obraca i wypełnia żagle, czy zrywa dachy, burzy tamy i mury, to wasza rzecz!... Wy o to się starajcie, żebym wam pomagał, a nie gnębił was!... Była tu pewna mała istota, której, na jej płacze i żale, nieraz to powtarzałem... Poszła uczyć was rozumu... Opuściła starego... Ale wątpię, żeby co z tego wyszło!... Drzecie się między sobą, kłócicie. Może ona ciebie posłała?... Źle ci doradziła, źle!...

— Nie, to ja sam poszedłem, choć znam ją!...

— Znasz ją?! Widziałeś ją?... — zagrzmiał wiatr i spróbował powstać. Trząsł się pod nim tron lodowy, posypały się z lawin śniegi i góra drgnęła w posadach, pociemniała twarz wielkoluda, ale po krótkim wysiłku został na miejscu.

— Widzisz, i ja jestem bezsilny!... Wiążą mnie własne mrozy, lody i zaspy śniegowe!... Gdzieżeś ją widział?... Mów, a wynagrodzę cię!...

— Więżą ją zbójnicy w lochu kamiennym... Chcieli ją uczynić swoją pomywaczką, ale nie zechciała nią zostać! Trzymają ją, aż dorośnie, aby sprzedać w niewolę do dalekich krajów... Albo herszt zbójecki weźmie ją za żonę!...

Drgnęły boleśnie puszyste brwi śniegowe, błysnęły groźnie pod niemi oczy lodowe. Znów stary spróbował porwać się z tronu i znowu z hukiem i drżeniem staczać się poczęły lawiny, pękała od ucisku jego nóg ziemia, a od gwałtownego oddechu w chmurnym wąwozie zakotłowała się czarna jak noc zamieć i burza. Nabrzmiały żyły na czole królewskiego starca pod lodową koroną, chrzęstnęły oparte na kolanach ręce. Wstać

jednak nie mógł. Żal się zrobiło Tomkowi starego.

— Nie martwcie się, ja ją zbawię!... — powiedział cicho.

— Nie zbawisz ty jej, nie zbawisz! Samego siebie zbaw pierwej... Pocoś tu przyszedł, nierozsądny?... Pychę swoją zadowolnić, mnie starego dręczyć!?

— Ależ nie! — bronił się Tomek. — Doprawdy, chciałem o swoją krzywdę się upomnieć!...

Opowiedział w krótkości, jak z matką biedował, jakie nadzieje pokładał w owej garści mąki i jak ją utracił. Potem opisał całą swoją podróż, ucieczkę od zbójników, spotkanie z królewną, drogę przez kamieniste doliny.

Stary słuchał go uważnie, znowu zalśniło łagodniej lodowe jego oblicze, zwolniało tchnienie do rozmiarów zwykłego wietrzyka. Ucichła zamieć, rozsunęły się obłoki, złote promienie słońca zajrzały do pieczary i zapaliły w lodach tysiące barw tęczowych, tysiące iskier. Poweselał wiatr północny.

— Rzadko się zdarza, żebym widział słońce!... Zuch jesteś chłopcze... Może ją, i zbawisz... Dam ci więc jedną, z jej zabawek... Weź tam z kąta mały wiatraczek!... Postaw tu i powiedz:

Miel. wiatraczku. miel!
Jak namielesz mąki. kaszy,
Między ludzi dziel!...

Pamiętaj nie używać go więcej niż trzeba, nie brać mąki na sprzedaż i dla zysku, a nadewszystko nikomu wiatraczka nie oddawaj!... Nie daj się skusić niczem!... Pamiętaj!... A teraz uchodź, gdyż oddechu długo wstrzymywać nie mogę... Chciałbym zaś, żebyś wyszedł cało z wąwozu!...

— Dziękuję ci, Wietrze Północny, dziękuję... Królewnę zbawię i dotrzymam, co kazałeś!... — krzyknął radośnie Tomek.

Młyneczek do worka ostrożnie włożył, skłonił się ładnie i szybko pomknął na dół po oczyszczonym od chmur wąwozie, wyzłoconym słońcem. Okrutne lawiny drapieżnie patrzyły nań z góry, zaspy śnieżne szemrały mu pod nogami, przyczajony w zacieniach mróz śledził go wyiskrzonemi oczyma, ale nie śmiały go zaczepić, gdyż władca ich był łaskaw na niego.

— Gdy będę ci potrzebny, gdy będę ci potrzebny... Przyjdź do tego wąwozu, uderz trzykroć ciupagą w krawędź lodową i gwizdnij trzykroć przeciągle... — szeptał z tyłu za nim łagodnie wiatr północny. Szept ten popychał go zlekka, przyjaźnie i pomagał mu biec po równej, ubitej pochyłości śniegów.

Przed zachodem słońca Tomek już był na dolinie u swego ostatniego noclegu. Rozpalił mały ogieniek, wyjął wiatraczek i zaraz spróbował jego sprawności.

Miel, wiatraczku, miel!
Jak namielesz mąki, kaszy,
Między ludzi dziel!...

Zaruszały się śmigi, zawarczały maluchne żarna, zatrajkotały pytle, bieluchna mąka posypała się z otworów... Ale wiatraczek namełł tylko tyle, ile było potrzeba Tomkowi na placek.

Nazajutrz o świcie Tomek ruszył dalej.

Cały czas podróży wiatr północny wiał nadzwyczaj łagodnie i Tomek rozumiał, że to się stary przezwycięża dla niego. Polubił go i żal mu go było.

— Zawsze w chmurach, zawsze w lodach, zawsze sam!...

Znalazł się nareszcie Tomek koło góry zbójnickiej. Poznał ją odrazu po pieczarze, z której lał się do przepaści wodospad. Brzegiem rzeki, utworzonej przez te wody, okrążył Tomek straszną górę i znalazł się na leśnej dolinie, z której otwierał się szeroki widok na rozległe, złote, pszeniczne równiny. Poznał ją z opowiadań księżniczki i podniósł głowę, szukając w wysokich wapiennych wiszarach okien zbójnickich. Było ich kilka i wydało mu się, że wjednem z nich mignęła twarz ludzka. Ale czy to była królewna, czy straż zbójecka, tego nie wiedział i, chociaż serce mu się ściskało z żalu i ochoty postania tu jeszcze, pośpieszył ukryć się w smrekowym borze i powędrował niezwłocznie dalej.

Wiatr północny jakby na to tylko czekał, zaraz zadął, napędził chmur i taką sprawił pluchotę, że spłukała wszelkie ślady i o żadnym pościgu zbójnicy marzyć nie mogli, choćby nawet Tomka ze swych strażnic dostrzegli.

Chłopak też zmokł, ale był wesół, gdyż zmoczone suknie można wysuszyć, a podziurawioną przez kule i ciupagi skórę trudniej wyleczyć. W dodatku, gdyby zginął, zamartwiłaby się stara matka i przepadłaby królewna...

— Czy aby matula żyją?!... Bo to spory kawał czasu, jak ją porzuciłem! — rozważał, idąc borem potężnym, który łagodnemi spadkami spływał coraz niżej na równie.

Zwały obłoków wciąż pędziły z północy i płakały zimnym dżdżem na góry, na lasy. Wiatr huczał w namokłych gałęziach sosen, dębów i buków i zrzucał na dół drugi deszcz wody, nałapanej przez liście oraz igły. Było ciemno, posępnie i nudno.

Ucieszył się przeziębły i przemokły Tomek, gdy trafił

nareszcie na drogę, na ślady ludzkie, a już wprost serce mu zadrżało, gdy pod wieczór dostrzegł pierwszy budynek ludzki, a w jego okienku światełko.

Była to karczma.

Karczmarz Grzela stał na ganeczku, szczypał rzadką bródkę i zmrużonemi oczyma patrzał na zadeszczony świat. Tomek myślał, że go nie widzi, ale ledwie się z nim zrównał, wnet go szynkarz okrzyknął:

— Niech będzie pochwalony!... A skąd to Pan Bóg prowadzi?

— Na wieki wieków! Nie widzicie, że z boru idę!?

— A dyć widzę, tylko że bór nie przymierzając jak morze... Więc z którego końca?...

— Może zbliska, a może zdaleka!... Jak dla kogo! — odpowiedział grzecznie Tomek i uchylił kapelusza.

— Więc nie zajdziecie?.. W taką szarugę!? Zmiłowania nad sobą nie macie?... Zachodźcie!... Nic z was nie wezmę, albo tyle co nic... Widzi mi się, że was znam skądciś!?

— Pewnie, że znacie!... Pamiętacie chłopaka, co przychodził z żydami!...

— A juści!... — ucieszył się Grzela. — Ino skądże... takie... zbójnickie ubranie?!

— A no — jest!... — odpowiedział z dumą Tomek.

— Pamiętam, pamiętam!... A jakże!... — gadał i kiwał głową chytrze Grzela. — Jeszczeście piwa pić nie chcieli, chroniliście swoją głowę, bo wybieraliście się... do północnego wiatru!... He, he!... I co: trafliście?.

— Przecie, że trafiłem!... — mruknął niechętnie Tomek.

— Rety!... Co wy gadacie!? Nie może być!... — wykrzyknął Grzela, zbliżając się. — Chodźcie do izby!... Co tu stać na

słocie!... Widzę, że wam się śpieszy, to was nie zatrzymam, ale musicie opowiedzieć, coście widzieli... Przecież nikt tego na świecie nie widział!

— Pewnie, że nikt! — zgodził się z dumą Tomek.

— Widzicie. To się i rozgrzać wam należy po takiej strasznej podróży... Tam na was zaczekają!... Kto wam może rozkazywać, takiemu człowiekowi!? Hę!?

Tomek spojrzał na czarną, zabłoconą drogę, na szarą, zadeszczoną okolicę i zrobiło mu się nagle tak ciężko od wichru, od zimna, tak nudno od czekającej nań mitręgi, jak nigdy. A w oknach karczmy tymczasem błyskało złote światło palącego się na kominie ognia i przez niedomknięte drzwi leciał zapach świeżego chleba i gotującej się kartoflanki.

Zachodźcie, zachodźcie na rozgrzewkę!... Podjecie sobie, to i raźniej pójdziecie... Nagrodzicie stracony czas!... — namawiał Grzela.

— Bo i pewnie!... — zgodził się po krótkiem wahaniu Tomek.

Weszli do izby.

— Matko!... Matko!... — wołał szynkarz na żonę od progu. — A zróbcie nam jajecznicę z dziesięciu jaj z kiełbasą... Z kiełbasą, pamiętam, lubisz!?

— Nie trzeba, nie trzeba!... — bronił się Tomek.

Ale już szynkarka zjawiła się w progu i, założywszy ręce pod fartuch, przypatrywała się ciekawie chłopcu.

— Nie poznajesz?.. Dyć to ten, co to chciał iść do północnego wiatru!...

— No i był!... — uśmiechnął się Tomek.

— Moiściewy!... O rety!... — westchnęła baba.

— Więc zwijaj się, matulu... I herbaty nam gorącej, bo

zimno... — rozporządzał się szynkarz.

— Nie, nie trzeba!... Bo widzicie... nie mam czem... zapłacić... Pieniędzy nie mam!... — szepnął wstydliwie Tomek.

— To nic! To my zaborgujemy!... — pocieszał go szynkarz.

— A co tam wiela w tym worku niesiecie?

— Różne rzeczy. Jedzenia trochę, szmat, kociołek...

— A to co tak sterczy rogami?...

— To... wiatraczek! — bąknął zmieszany chłopak.

— Wiatraczek?... — powtórzył podejrzliwie Grzela. — Pocóż to wy tyli świat takie ladacne cacko niesiecie? Przecież go wam byle świniarz zrobi!!

— Bo to widzicie... od północnego wiatru!...

— Aha!... — mruknął Grzela, z ukosa spoglądając na worek.

Szynkarka nakryła stół ręcznikiem, położyła chleb biały, nóż, sól postawiła w solniczce, a wreszcie podała rynkę gorącej jajecznicy. Zapach przyskwarzonej słoniny buchnął po izbie. Tomka aż zemdliło od tych smakowitości. Dawno ludzkiej potrawy nie jadł, nie wąchał. Grzela przypatrywał mu się z pod oka, jak zawijał łapczywie, podsuwał mu to to, to owo i dogadywał:

— Jedzcie, jedzcie z Bogiem! Tyli świat schodziliście, bez domu, bez pożywienia... Zecnieliście do szczętu. A może piwka albo gorzałeczki?..

Tomek trząsł przecząco głową.

— Nie bójcie się!...

Gorzałeczka przepalona.
Leci w gardło jak szalona!...

zaśpiewał Grzela ochrypłym głosem.

Ale Tomek nie dawał się skusić i trząsł wciąż przecząco głową.

— Nie chcę, nie lubię!... Myśli mąci... Człowiek i bez tego rozumu ma niedużo, a od wódki, to go całkiem traci! — bronił się.

— Jak kto!... Jak kto!... Są tacy, co od gorzałeczki dopiero rozkwitają... Ale wy, widzę, nie potrzebujecie tego... Ba!... Żeby tyli świat zwiedzić, trzeba mieć niemały rozum!... No, ale rumu do gorącej herbaty, to już musicie pozwolić, bo to przecież żaden trunek!... Matka, flaszkę „Rum-Jamajka“ tę tam z górnej półki! Żywo!... Zobaczycie, jak to dobrze na nogi robi!... Odrazu poczujecie, jakbyście wcale nie chodzili... A w głowie nic, ani mgiełki!...

Tak mu szynkarz dogadywał, a pochlebiał, dolewając rumu do herbaty. Tomek, który po zjedzeniu jajecznicy odrazu osowiał, nie bronił się. Owszem mocny aromat napoju, zmieszanego z gorącą herbatą, przyjemnie łaskotał mu, powonienie. A skoro wypił, ogarnęła go nagle wielka rozmowność. Zaczął opowiadać szczegółowo, jak szedł przez bór, jak dostał się na kamieniste doliny... Już, już chciał pochwalić się swoją ucieczką od zbójników, gdy stanęła mu przed oczyma twarzyczka królewny i ugryzł się w język.

— Patrzajcie, ludzie!... Matko, słyszałaś?! Toć to wy jeden na całym świecie zdoleliście taką rzecz zrobić!... — dogadywał wciąż szynkarz, dolewając nieznacznie rumu.

— Pewnie, że niełatwo!... Byle kto nie zrobi!... Ale ja nic nie pytam, idę!... Aż tu ogromne górzysko na pół nieba, szczery lód... — zaczynał się przechwalać Tomek, któremu już w głowie dobrze szumiało. — Mgły straszne, wichura... Nic nie pytam!... Idę, wpadam do lodowego zamku, chwytam wiatr

północny za brodę!...

— Rety!... Moiściewy!... — zaszeptała przerażona szynkarka.

— Rzecz prosta!... Co na niego spoglądać!... Za hale go!... — basował szynkarz.

— Chwytam go za brodę, wołam: oddaj mąkę!... Zląkł się... Nie mam! — powiada — rozwiała się!... Rozwiała się czy nie, to mi wszystko jedno! — wołam — moja była!...

— To się rozumie!... W nos go!... W oko!... Za brodę, zbója! — podpowiadał przebiegle Grzela.

— Bierz, mówi, co chcesz, bierz młynek, co ci tej mąki namiele, ile chcesz!... — kłamał już zupełnie pijany Tomek.

— Moiściewy!... — szeptała szynkarka.

— Cicho, babo! Taki młynek! No i mądrala z was!... Ale tylko czy on aby was nie obełgał...Bo to chytra bestja, ten wiatr północny... Jak to on wieje, jak to on nieraz kręci, jak lis ogonem... To z tej, to z tamtej strony uderzy, to u ziemi przywaruje...

— Wiedział, z kim miał do czynienia... Ze mną sprawa krótka... Raz, dwa trzy!... Halt! — wykrzykiwał Tomek.

— Próbowaliście?..

— Próbowałem. Miele jak anioł!...

— Moiściewy!... Moiściewy!... O rety!... — szeptała szynkarka, ręce pobożnie składając.

— Cicho, babo!... Nie przeszkadzaj panu Tomaszowi!... Ach, wielmożny panie, gdyby to tak choć jednem oczkiem zobaczyć, choć przed śmiercią raz takie cudowności poznać!...

— Dlaczego!? Mogę wam pokazać... Wszystko mogę!... Co chcę, to mogę... Zechcę, to drugi raz do północnego wiatru pójdę!... Albo to mnie nie stać!? Albo to nie mam głowy na

karku!? Zaraz wam pokażę, jaki to młynek... Nic wielkiego!... Rozłóżcie płachtę...

— Skocz, matko, nieś duchem tę największą ze śpichrza! — wołał gorączkowo Grzela.

Szynkarka przyniosła płachtę, rozłożyła pośrodku izby, a szynkarz tymczasem zamknął drzwi na haczyk i zawiesił okna.

Postawił Tomek swój wiatraczek pośrodku, stanął przed nim, podparł się w boki i zawołał:

Miel, wiatraczku, miel!
Jak namielesz mąki, kaszy,
Między ludzi dziel!

Wiatraczek chwilkę jakby zawahał się, machnął śmigą w jedną, w drugą stronę, poczem zaczął zwolna obracać się. Zaszumiały żarna, zatrajkotały pytle i biała struga mąki posypała się z otworów. Grzela aż przysiadł i, schwyciwszy szczyptę palcami, położył ją na dłoni, roztarł, powąchał, posmakował i podskoczył wysoko nad ziemią.

— Chryste Panie!... Mądry jesteście człowiek, poprostu mędrzec... a i dobry... poprostu anioł!... Tyle nam namleć chcecie!... Niech wam Bóg da zdrowie!... Ale już na to pozwolić nie mogę, żebyście za jedzenie mi płacili... Wy już, wielmożny panie, i wódeczki ze mną wypić musicie!... Nie ustąpię!... Takiej mi obrazy nie zrobicie!... Marny ja robak wobec was, wielmożny panie, i głupiec skończony, ale uczcić człowieka takiego i ja godnie muszę!... Zanocujcie, proszę, w mej karczmie ubogiej!... Noc późna, ciemna, deszcze leje!... I tak do domu nie dojdziecie, a jutro rano skoro świt waszą wielmożność obudzę!... — gadał szynkarz, łypiąc chciwem okiem na górę mąki, wciąż sypiącej się z pod młynka.

Tomek, który, siedząc za stołem, już się dobrze kiwał, nie opierał się wcale. Posłano mu na ławie i ani wiedział, kiedy na pościeli się znalazł i usnął. Nawet dobrze nie pamiętał, czy młynek zatrzymał.

Gdy się nazajutrz obudził, już słonko zalewało okno. W izbie przed szynkwasem stali jacyś chłopi przejezdni w czapach baranich z batami w ręku i zagryzali śledziem gorzałkę.

Zerwał się Tomek, spojrzał trwożnie na swój pakunek, ale dostrzegłszy wystające stamtąd szczęśliwie śmigi wiatraczka, rzeczy pośpiesznie spakował, worek zawiązał i zabierał się do odejścia.

— Gospodarzu, a wiele to wam winien będę? Żebym wiedział, ile odesłać? — zapytał nieśmiało, kręcąc swój góralski kapelusik.

— Eh!... Co tam?... Jakie tam rachuby!? Przecie to my was wczoraj częstowali, nie dla zysku, a dla honoru!... Takiego podróżnika pochlebnie każdemu podejmować!... — wymawiał się grzecznie Grzela.

Chłopi ciekawie i podejrzliwie przyglądali się zbójnickiemu strojowi Tomka. Chłopak czuł się nieswojo, głowa go po wczorajszej pijatyce bolała i nawet mdliło.

— Ot, wypijcie lepiej kieliszek na drogę i zakąście czem!... — częstował go łaskawie karczmarz.

Tomek potrząsł głową z obrzydzeniem i po chwili namysłu wyszedł za drzwi. Przypomniał sobie, że kazał przecie wiatraczkowi namleć górę mąki i kaszy i że tego aż nadto wystarczało dla opłacenia szynki, jajecznicy i kilku szklanek herbaty z rumem.

— Eh, coś źle się stało! — rozmyślał, idąc i przypominając

sobie rozmowę z wiatrem północnym. — Dobrze, że choć ten karczmarz dochował sekretu i nie wspomniał o cudownym wiatraczku!... Toby to dopiero był wstyd!... Kazał mi przecie wiatr północny trzymać język za zębami!... Zawsze ten Grzela to niezgorszy człowiek!

Pod wieczór znalazł się w okolicy wioski rodzinnej, a niedługo potem już wchodził w progi własnej chałupy. Matka właśnie paliła w piecu. Spostrzegłszy go, rzuciła łuczywo i skoczyła ku niemu.

— Tomku, tyżeś to?! Żyjesz, dzieciątko?! Niedobry chłopaku!... Słowa nie rzekłeś, poszedłeś! Co ja się po tobie napłakała, namartwiła. Dopiero żydy przyszły i opowiedziały... Jeno, synku, nienależycie mówiły, nienależycie!... — urwała i z trwogą spojrzała na syna.

— A z czegożeście, matulu, przez ten czas żyli?... Taką miałem o to troskę, tak mię serce bolało, matulu!... Ale czy tak, czy owak iść musiałem...

— Tak, tak! Ale wróciłeś, synku... Wróciłeś! Więc nie warto wspominać!... — Pewnie głodny jesteś, zmarnowany!... — przerwała mu pośpiesznie. — Mam trochę mąki, chleba... Poznosili dobrzy sąsiedzi, jak się dowiedzieli o mojem nieszczęściu.

— Odwdzięczymy się im, matko, odwdzięczymy!... Teraz już nie zaznamy biedy!... — mówił z dumą Tomek, zdejmując worek i rozpinając pas...

— Daj to Boże!... — wzdychała stara. — A skądże to masz taki piękny przyodziewek?... Czyś ty czasem, synku, grzech powiedzieć, — nie przystał do zbójników?...

— Był ja i u zbójników! — rozśmiał się Tomek, widząc, jak matka z przerażeniem zębami plasnęła. — Ale zbójnikiem nie

byłem i bogactwo nasze nie stamtąd!...

Powoli zaczęli się schodzić sąsiedzi. Widzieli Tomka idącego przez wieś i teraz nadciągali ciekawie. Pierwsze przyleciały dzieci i zaglądały do okien oraz przez szparę niedomkniętych drzwi z sieni. Potem przyszedł Maciek Gruby, Kuba Chudy, Franciszek Młynarczyk, przyszły ich żony, stara Jagna Znachorka i wiele innych. Wszyscy walili się do izby i pilnie przyglądali Tomkowi, aż się chłopakowi robiło nieswojo.

— Gadaj, chłopaku, gdzieżeś to tyle czasu przepadał?.. — spytał wreszcie Maciek Gruby.

— Matkę bez sumienia rzuciłeś!... — wstawiła stara Jagna.

— Do zbójników przystałeś?... — pytał Kuba, rzucając złośliwe spojrzenie na góralski przyodziewek Tomka.

— Dajcie mu pokój!... Taki zbiedzony, nie widzicie! — broniła syna wdowa.

— Wiadomo — zbiedzony!... Od wiatru nikt nie tyje!... — żartował Młynarczyk.

— Ino wy! — odcięła wesoło Maryśka Szczęśnianka.

— Ino my! — zgodził się Młynarczyk.

— Gdzieżeś był? — powtórzył Maciek Gruby.

— A no byłem... u północnego wiatru!

Ucichło w izbie, a Maryśka, co najbliżej Tomka stała i szczerzyła zęby, cofnęła się i odrazu buzię zamknęła.

— Ach, ach!... — wzdychały baby, kiwając głowami.

— A cóżeś u tego wiatru robił?... — dopytywał się Kuba.

— Co miałem robić?.. Swojej krzywdy szukałem!...

— Olaboga!... Laboga!... — wrzasnęła nagle wdowa. — Tomku, synuśku mój mileńki!... Sieroto!... Na to ja cię chowała, karmiła, poiła, żeby mieć taki koniec!... O rety!...

Prawdę mówiły żydy, prawdę!... Nie w swoim ty jesteś rozumie, synku, nie w swoim!... Od tej nędzy, od tej biedy pomieszały ci się zmysły... Co ja nieszczęśliwa pocznę, widzicie, ludzie!... O Boże, Boże!...

Tomek wstał trochę rozgniewany, trochę zaniepokojony.

— Cóż te żydy powiadały?... To ja ich na to od wilków zbawiłem, żeby mnie obgadywały!...

— Ależ nie! — mitygował go Maciek. — Juściż opowiadały o twojej wędrówce... Twojej matce też bardzo pomogły!... Przez nich przy życiu została...

— I przez sąsiadów!... — mruknął Młynarczyk.

— No tak, przez sąsiadów, ale żydy im powiedziały o wszystkiem, co taić!... — nastawał sprawiedliwy Maciej.

— Przez sąsiadów!... — westchnęła żałośnie wdowa. — Wstań, synku, dziękuj, kłaniaj się! Bez ich pomocy dawnoby mnie na świecie nie było... A oni nietylko pomoc dali, dowiedziawszy się o mojem nieszczęściu, ale pola nawet zaorali i zasiali... Będziemy coś niecoś i w zimie mieli! Kłaniaj sę, synku!...

— Dziękuję wam, dobrzy ludzie, zacni panowie sąsiedzi!... — zaczął, wstając, Tomek. — Pięknie wam za wszystko dziękuję!... Ale słowem dziękować za taką rzecz to mało. Już ja sobie dawno tak rozmyślał i wiatr północny mi tak kazał, żeby my sobie zawsze we wszystkich biedach i przygodach i w całem życiu pomagali. I on mi dał, ten wiatr północny, taką rzecz że całemu ludowi już bieda dokuczać nigdy nie będzie, że będziem już teraz spokojni o nasz los...

To mówiąc, wyjął z worka wiatraczek i ostrożnie postawił go na środku stołu. Znowu zapanowało w izbie przykre milczenie.

— Phi!... Wcale piękny statek!... — rozśmiał się wreszcie Młynarczyk. — A dużo miele?

— Ile chcieć!... Ile trzeba!... Matko, rozłóż płachtę, żeby się nie zmarnowało!... — zawołał Tomek.

— Olaboga!... Ludzie, ludzie, nie dajcie mu, trzymajcie go!... — lamentowała wdowa.

Widząc, że matka się nie śpieszy, Tomek sam skoczył po płachtę, strasząc szybkiemi ruchami zebraną u progu dziatwę.

Miel, wiatraczku, miel!
Jak namielesz mąki, kaszy,
Między ludzi dziel!

Wiatraczek ani drgnął. Tomek zmartwiał. Oczom swoim nie wierzył.

Miel, wiatraczku, miel!...

Wrzasnął już na całe gardło. Ale daremnie krzyczał, daremnie dmuchał na śmigi i popychał je, — wiatraczek nie ruszał się, a choć się parę razy obrócił, to nic z żaren się nie sypało.

Miel, wiatraczku, miel!...

Krzyczał ochrypłym głosem Tomek, wymachując rękami.

— Doprawdy mełł!... Coś mu się stało!... Spytajcie karczmarza Grzelę!... Wczoraj jeszcze całą górę mąki namełł!... — dowodził rozpaczliwie.

Starsi uśmiechali się żałośnie, baby wzdychały i pocieszały płaczącą wdowę, a dzieci już zaczęły podśpiewywać:

Miel, wiatraczku, miel!
Ino nie wystrzel!...

Uspokój się, chłopcze, uspokój!... Cicho, dzieci!... — rozkazywał Maciek. Ale robiło się coraz gwarniej, coraz więcej przycinków i żartów sypało się na nieszczęśliwego Tomka.

— Widzisz, Maryś, widzisz, co z tego wiatru bywa!... Ty bardzo gęby nie otwieraj, bo i tobie jeszcze młynek się w głowie urządzi.

— Ho! ho!

Tymczasem Tomek czerwony z gniewu szybko się znowu odziewał. Nim ludzie zdążyli się spostrzec, wpakował młynek do worka, ciupagę z kąta schwycił i ruszył ku drzwiom. Wszyscy prysnęli przed nim na strony...

. — Trzymajcie go, nie puśćcie go!... Jeszcze sobie co uczyni!... Olaboga!... O ja nieszczęśliwa!... — wołała szlochając wdowa. Ale nikt nie odważał się zbliżyć do machającego siarczyście ciupagą Tomka, biegli tylko za nim z tyłu i wołali:

— A gdzie to!...? A zatrzymaj się nieboraku!... A poczekaj!... Nikt cię przecie nie krzywdzi!... Młynek ci zostawimy, baw się!... Ostań!.

Tomek szedł coraz prędzej i prędzej, wreszcie zaczął biec i wyścignął nawet psy wioskowe, które puściły się za nim pędem z wielkiem szczekaniem na jego strój goralski.

Uspokoił się dopiero pod lasem. Usiadł, wytarł pot z czoła, wyjął młynek i zaczął go oglądać. Wszystko było całe i w porządku, tylko jakieś — martwe.

— A, to oszust!... Dam ja mu!... Takiego narobić mi wstydu!... — rozmyślał z gniewem.

Wieczorem dowlókł się do karczmy.

— A, to wy? Czegóż chcecie po nocy? —
spytał niechętnie Grzela, gdy Tomek wszedł do izby i zrzucił cuhę oraz worek z pleców.

— Ach, panie karczmarzu! Znowu idę do północnego wiatru!... Co wstydu narobił mi ten nicpoń, ten oszust!... — począł z oburzeniem opowiadać Tomek.

— Juścić!... Jakże można tak sobie drwić z człowieka!... Tyli świat drogi go wlec!... Tego nijak darować nie można!... Słyszałaś, matko, co się stało?! Młynek kataru dostał!... — wołał karczmarz wesoło na żonę. — Dziś chyba już dalej nie pójdziecie, zanocujecie? — pytał ze współczuciem.

— Zanocowałbym, tylko... nie mam czem płacić!...

— Możemy zaborgować!... Dopiszemy do starego długu... A bo to nam pierwszyzna czekać na poczciwych ludzi... Tyle naszej uciechy, co pomożemy bliźniemu, wygodzimy ludziom... Na to i karczma!... A może gorzałeczki? Co?!

Na frasunek
Dobry trunek!

Tomek od wódki się wymówił, ale podjadł sobie dobrze klusek ze słoniną.

— Nie popuśćcie tym razem staremu dziadowi!... Nie darujcie!... Musi was dobrze podwójnie, potrójnie wynagrodzić za tyli świat drogi, takie trudy niewysłowione i wielką hańbę... Musi wam dać, co ma najlepszego... Nie zgadzajcie się na byle co!... — pouczał go tymczasem karczmarz, a karczmarka, schowawszy ręce pod fartuch, przytakiwała mężowi, kiwając głową:

— Moiściewy, moiściewy!... Tak skrzywdzić nieboraka.

Dał Grzela Tomkowi na drogę chleba, jajek na twardo, kiełbasy.

— Nie frasujcie się, nie frasujcie!... My to wszystko zapiszemy, to ta nie przepadnie!... Dorobicie się, zapłacicie, a nie, to i tak, Bóg zapłać za dobre słowo!... — uspokajał karczmarz zawstydzonego chłopaka.

Na rozedniu, nie budząc śpiących gospodarzy, wymknął się Tomek i podążył znajomą drogą przez bory.

Siwa rosa siedziała jeszcze na liściach, na pniach, na kamieniach przydrożnych. Ptaki ledwie niektóre cicho świergotały. Ciemne drzewa coraz wyraźniej wypływały wśród perłowego świtania. Zagrały wreszcie ich wysokie zaspane czuby w różowej zorzy. Gruchnął chór zbudzonych ptaków.

Raźniej zrobiło się i Tomkowi, gwizdnął przeciągle i, podrzuciwszy ciupagę do góry, krzyknął:

— Hej, hej!

Ale nagle wspomniał sobie wszystko: zbójników, królewnę, matulę, drwiny sąsiadów posmutniał:

— Nie mam przyjaciela, oprócz Grzeli karczmarza! On

jeden nade mną się użalił! Poradził!... — rozmyślał chwilę potem, siedząc na zwalonym pniu i zajadając jajka na twardo z solą oraz chleb z masłem. — Cobym począł, gdyby on mi nie wygodził!? Już jak się zbogacę, to o nim nie zapomnę!... Będzie nagrodzon!

Znajoma droga o wiele sporzej poszła chłopcu. Co przedtem szedł tydzień, w trzy dni teraz zrobił! Niedługo znalazł się w wąwozie pod zbójeckiemi oknami. Schował się w krzaki, wypatrzył, czy gdzie w pobliżu niema zbójników, i zagwizdał. Z początku nic: cicho. Jedynie gdzieś na skale sokół kwilił przenikliwie, a drugi polatał nad nim wysoko w błękitach. Brzozy zwieszone z urwiska rzucały w dół pożółkłe przed czasem listeczki, które lecąc błyskały w słońcu jak złote.

Tomek poczekał i gwizdnął raz drugi. Wtedy w okienku mignęła biała plamka, a niedługo potem wysunęła się biała rączka i wyrzuciła białą szmatkę. Leciała szmatka na bory, na wody, na kamieniska, trzepocąc się i ważąc jak motyl, a Tomek biegł za nią z zadartą głową, zapomniawszy o zbójnikach i całym świecie. Gdy ją złapał, serce mu biło tak radośnie, jakby mu północny wiatr dał już najładniejszy podarunek. Obejrzał płócienko na wszystkie strony i ogromnie zdziwił się i zastanowił, zobaczywszy na jednej stronie jakieś drobne, czarne znaczki, jak gdyby popstrzone przez muchę.

— Co to może być?! — rozmyślał, coraz to wyjmując szmatkę z zanadrza i oglądając ponownie.

Na skalistej dolinie za jaskiniowym wodospadem odnalazł bez trudu swe dawne noclegi i schowane pod kamieniem zapasy. Bardzo się przydały, gdyż chleba i jajek nie na długo starczyło. Dojadał już nawet resztki pozostałych zbójnickich sucharów.

Znów dręczyły go zimne mgły i przejmująca wichura, znów sypiał w szczelinach skalnych skurczony jak konik polny. Znów z trudnością mógł rozniecić jaki taki ogieniek. Ale wszystko robił prędzej, sprawniej, gdyż wszystko już znał, i otuchy miał więcej, gdyż wiedział, gdzie jest kres jego podróży.

Nareszcie stanął jak wtedy u gardzieli lodowego wąwozu i według nakazu wiatru północnego gwizdnął przeciągle trzykroć i trzykroć zazbyrczał ciupagą, ile sił starczyło po lodowych zrębach. Zaraz wiatr ustał, mgły opadły i Tomek sunął pośpiesznie na przyczepionych pod podeszwami raczkach w górę po gładkiem, ubitem śniegowisku do pieczary.

Dopiero gdy stanął w bezpiecznem miejscu z boku lodowego tronu, wiatr północny westchnął głęboko i natychmiast w wąwozie zahuczała wichura i zakłębiła się zamieć, niby długa, roztrzęsiona broda śnieżysta.

— Widziałeś ją? — spytał wiatr północny głosem huczącym jak stłumiony grzmot.

— A jakże!... I nie wstyd to wam się pytać?.. Czy to tak się robi, jak wy ze mną, zrobiliście?... Dać byle grat za tyle trudu i pracy?... Za tyli szmat drogi!... Coście mi dali? Co? — powtarzał Tomek nauki szynkarza.

— Kto cię o trudy prosił? Starałeś się dla siebie!... — zahuczał jeszcze głośniej wiatr.

— Zapewne!... Ale... ten młyneczek to na nic... On się wcale nie obraca, nawet kiedy go trącać... Tyle wstydu przez niego miałem... Sąsiedzi mnie wyśmieli, głupca ze mnie zrobili!... — bąkał Tomek, starając się przytrzymać cuhę, którą wiatr trzepał swym oddechem, niby marnym strzępem.

— Możeś zepsuł?... Możeś komu majstrować pozwolił?...

— Ale gdzie zaś?! Niosłem jak jajo... Nikomu nie dawałem, ino pokazałem jak to się kręci karczmarzowi Grzeli... Musiałem przecie im się odwdzięczyć, że mi coś gorącego dali z jeść! Tyle czasu łyżki gotowanej strawy w gębie nie miałem... Grzela dobry człowiek, sam mnie uczył, jak się z wiatraczkiem obchodzić, jak go pielęgnować, żeby śmig nie połamać, trybików nie uszkodzić... A teraz, kiedym szedł, to mi chleba i jajek dał... Inaczej nie doszedłbym!

Wiatr północny groźnie błysnął na chłopaka lodowym wzrokiem.

— A gdzież ten młynek?...

Tomek wyjął sprzęcik i postawił na lodowym zrębie tronu. Wiatr ledwie nań spojrzał.

— Nie zbawisz ty jej, nie zbawisz!? Słaby jesteś, głupi jesteś!... — zahuczał znowu.

— Jakże ją mogę zbawić, miłościwy wietrze!... Muszę przedtem sam się utrwalić, wzmocnić, wzbogacić!... A to tak z pustemi rękami jakże na zbójników pójdę... Bez pomocy nie pójdę!... A sąsiedzi teraz mają mnie za byle co, nawet powiadają, żem rozum postradał... Kto takiego posłucha, takiemu uwierzy!? Powinniście mnie wspomóc, żebym sam oparcie miał i ludziom mógł gębę zatkać!

Zakiwał wiatr północny głową, aż zadrżały nawisłe na górach lawiny.

— Dobrze. Tylko dużo nie gadaj, bo tego nie lubię! Weź tam z półeczki, gdzie córki mojej zabawki, biały obrusik!... Żebyś nie potrzebował po karczmach się włóczyć!... Wynoś się, bo dłużej już nie mogę wstrzymać oddechu!...

— Obrusik?.. A cóż ja z tą szmaą zrobię? — pytał frasobliwie Tomek.

— „Obrus, obrus, ty się rozłóż!...” powiedz, a zo-baczy-sz-ssz-szsz!... zoo-ba-czczczy-szszsz! — zasyczał wiatr, z trudnością wstrzymując rozdęte policzki.

Tomek widział, że to nie żarty, że wiatr północny istotnie gniewać się zaczyna, schwycił obrusik, wyskoczył z jaskini i popędził na dół, jak sarna, a wiatr go z tyłu jeszcze podbijał.

A takie było wichrzysko złe, zimne, wilgotne, zjadliwe, że Tomek nie oparł się, aż przy zbójnickiej górze. Bał się wyjąć obrusik, żeby mu go wichura nieporwała i tylko od czasu do czasu zaglądał do worka, czy aby on tam leży.

W zacisznej kotlince zrzucił z siebie cuhę, worek, ciupagę umieścił pod ręką i wtedy dopiero, z pewnym strachem, położył obrus na płaskim, wielkim głazie. Wiatr tu nie dochodził, było ciepło, słońce złociło wesoło szare, skalne złomy, obok srebrna rzeka przeltwała się z łoskotem po kamieniskach. A niedaleko zieleniały już lasy i wysoko w błękitach mgliły się różowe wieżyce „zbójnickich okien“.

Obrus,
Ty się rozłóż!

zawołał z bijącem sercem Tomek.

I natychmiast rozwinął się obrus, jak wielki, biały kwiat. Zalśniły na nim niby rosa kryształowe naczynia i srebrne przybory. Zamigotały porcelanowe talerze, a pośrodku, niby malowanie, wytrysł cudny bukiet kwiatów, wjechała dymiąca waza i złocony czerpak nalał gorącej zupy do stojącego przed Tomkiem talerza. Smakowity zapach rozlał się wokoło. Potem przyszła sztuka mięsa z ćwikłą, pieczyste z jarzynka legumina, na deser pyszne owoce: winogrona morele, ogromne zamorskie

grusze i śliwy...

Tomek nic podobnego nigdy nie jadł i nie wiedział często, co robić z łyżeczkami, nożykami, serwetkami — wszystkiemi temi przyborami bogatej uczty.

— Co też to Grzela na to powie?.. To się zdziwi!... Nawet się pewnie przestraszy, jak waza z gorącą zupą zacznie przez powietrze płynąć?.. O jej!... Dobrze mi poradził... Podziękuję mu!... Poczęstuję, ile wlezie... Gdybym starego nie nastraszył, znowuby mi wsunął jaki grat, a tak... obrusiczek!... Oj, oj!... Śliczny podarunek... I nieść go łatwo i schować... I niema się co w nim zepsuć!... Wieki trwać będzie!... To się zdziwią sąsiedzi!... Proszę siadać!... Co życzą sobie panowie? — rozmyślał radośnie Tomek, idąc doliną. I tak się zapalił, rozmarzył, że ani spostrzegł, jak minął „okna zbójnickie“, i nie spojrzał nawet na czarny, zakratowany otwór, w którym mignęła na chwilkę biała, smutna twarzyczka.

Grzela dawno go już wypatrywał. Gdy nareszcie, pewnego wieczora, ujrzał przez okno ciemną postać chłopaka, wychodzącą z lasu, wyszedł zaraz na ganek i kiwnął nań wesoło:

— Bywajcie, bywajcie, panie Tomaszu!... Długo was nie było widać! Myślałem, że was wilcy zjedli!... Prosimy, prosimy!... Już moja stara jajecznicę smaży!...

— Co tam jajecznica!... — mruknął tajemniczo Tomek — Niech się pani szynkarzowa nie trudzi, dzisiaj ja częstuję!...

— Oho!... Cóż to: restaurację z sobą pan Tomasz nosi, czy co?... — zapytał chytrze Grzela, a oczy mu błysnęły jak u lisa na kurę.

Tomek nie kazał się dwa razy prosić, wszedł, kapelusz i cuhę na kołku powiesił, worek zdjął, usiadł za stołem i na

Grzelę z góry spojrzał.

— Teraz zobaczymy, kto lepszy?.. Wołajcie waszą babę, ale niech się umyje, a i mnie w misce wody dajcie, bo do takiego jadła trzeba gębę opłukać!...

Podali mu wody, mydło i ręcznik Sam Grzela mu usługiwał, na paluszkach koło niego chodził, a basował, a dogadywał:

— Ile to na panu brudu!.. Ile to wielmożny pan poniósł trudu i niewygód?... Jaka za to powinna być nagroda?... Każdej będzie za mało!.. Ktoby to zdołał?... Na świecie takiego niema!

— I to prawda, że o takim, coby tam bywał, nie słyszałem... Ale... opłaciło się! Zaraz zobaczycie... To już nie mąka z kaszą, a coś, po czem i krój paluszki obliże!... — puszył się Tomek.

Wyjął z worka obrusik, położył go na stole, kazał siąść po bokach karczmarzowi i karczmarce, a sam umieścił się pośrodku i wrzasnął:

Obrus,
Ty się rozłóż!

I zaraz rozwinął się obrusik, jak biały kwiat, zalśniły się na nim, niby rosa, kryształy i srebrne przybory, zamigotały porcelanowe talerze, a pośrodku, niby malowane, wytrysł cudny bukiet kwiatów. Potem wjechała, dymiąc, jak lokomotywa, pękata waza i złocony czerpak rozlał do talerzy zupę gorącą. Była zupa rakowa, były szparagi, kurczęta z sałatą, morengi ze śmietaną i na deser owoce z dalekich krajów, słodkie, przepojone słońcem — banany, winogrona, granaty, brzoskwinie i inne, nieznane nikomu nawet z nazwiska... A że karczmarzowej zachciało się wkońcu klusek kartoflanych ze słoniną, więc zjawiły się i kluski.

Grzela długo-długo myślał, coby sobie kazał dać, wreszcie zmrużył oczy i powiedział:

— Jabym sobie kazał dać szklankę „siampana“, a do tego „ciarnej kawy z zielonym likierem“!

— „Siampana i ciarnej kawy z zielonym likierem“!... A żywo! — krzyknął na obrusik Tomek.

Długo czekali. Już Tomek zląkł się, już Grzela zaczął wydziwiać:

— Cóż to za nowe oszukaństwo!...

Wtem spłynęły z powietrza maluchne filiżaneczki z czarną kawą, ale ani „szklanki z szampanem“, ani likieru nie było.

Grzela odął wargi.

— To taki ruch!... Co to my jakie gęsi, żeby wodę zimną chlipać?!... Krzyknijcie znowu, a srożej!...

Krzyknął Tomek srożej:

— Siampana!... Likieru!

Ale nic, cichość stała wielka w powietrzu i ino czarna kawa dymiła do góry cienką mgiełką.

— Taki to on, ten twój wiatr!... A przy takim stole wszystko przecie powinno być na zawołanie: piwa, portery, wódki gdańskie i jarzębówki, a z win — draj-madery i szampańskie i węgierskie i tokaje i maślacze i rum-jamajka... — wykładał Grzela całą swą szynkarską uczoność.

Zmartwił się Tomek.

— No, nie frasujcie się! Moja stara równie dobrze przyniesie butelczynę, jak ta biała szmata... Hej, matko, daj ta nam ten z boku gąsiorek opleśniały!... Tam jest taki trunek, że i sam północny wiatr lepszego nie pijał!... Wypijemy i pomyślimy, co robić! — pocieszał szynkarz chłopaka.

Wypili. Tomkowi rychło zakręciło się w głowie i znów

zaczął się przechwalać i wygrażać, nawet biec chciał zaraz zpowrotem do wiatru północnego, za ciupagę chwytał, ale nogi mu się splątały, na ławę padł i usnął, mamrocząc:

— Ja cię stary za brodę!... Taki owaki... oszuście!...

Kiedy jednak nazajutrz obudził się i przypomniał sobie, jak wczoraj pił i wygadywał, wstyd mu się zrobiło i chyłkiem, nie czekając aż gospodarze wstaną, wyniósł się bez pożegnania i obrachunku.

— Zapłacić mu zapłacę, choć co prawda niema zaco, bo jadł on moje, a jam go nie prosił, żeby mię częstował... — rozważał sobie, idąc po drodze w szarem świtaniu. Skowronek śpiewał mu gdzieś wysoko nad głową, chłodne powietrze owiewało ciężką, zamgloną głowę.

— Muszę przedewszystkiem nakarmić, uspokoić matulę... Potem zwołam sąsiadów i pokażę im, że wcale nie jestem taki głupi, jak myślą... Potem... ach, potem... Nie widziałem królewny, nie widziałem!... Nicpoń jestem, nicpoń!... Czekała pewnie biedulka, martwiła się, a ja nawet nie spojrzałem w tę stronę... A przecież wiatr północny dał mi to wszystko co prawda z łaski, tyle co zadarmo!... Przecie ta nasza mąka, to nie tak wiele już warta! Nicpoń ze mnie, nicpoń!... — martwił się Tomek i kroku pośpieszał.

Kiedy go dzieci zobaczyły we wsi, zaczęły za nim biec, przedrzeźniając i wyśpiewując:

Miel, wiatraczku, miel,
Ino nie wystrzel!

— Hej, zbójnik!...

— Piórko sokole, a pusto w stodole!...

Na ten hałas powychodzili i starsi z chałup i zwolna pociągnęli za Tomkiem. Sromał się, chłopak tego widowiska, ale pocieszał, że z miejsca obrus rozłoży, sąsiadów uczci, udobrucha i swój rozum pokaże. To też skoro wpadł do izby, nawet z matulą się dobrze nie przywitał, duchem z siebie cuhę zrzucił, wór rozwiązał, dostał obrus, na stół rzucił i woła:

Obrus,
Ty się rozłóż!

A już sąsiadów i dzieci pełna sień. Zaglądają ciekawie, co będzie.

Obrus,
Ty się rozłóż!

wrzeszczał coraz głośniej Tomek.

Obrus ani drgnął. Leżał sobie, jak go chłopak położył, biały, gładki, rąbkiem do rąbka złożony.

— Obrus!... Ja z tobą żartować nie będę!... Pamiętaj!... — krzyczał, czerwieniąc się, Tomek i już za ciupagę imał.

— O Jezu!... Nie dajcie mu ludzie!... Odbierzcie siekierę!... Wrócił, ale jeszcze gorszy, niż był... O, dolo moja, dolo!... Trzymajcie go, dobrzy ludzie, jeszcze sobie, albo komu co go zrobi! — biadała matka, zakrywając zapłakaną twarz fartuchem.

Wtem Tomek zaklął, ciął ciupagą po obrusiku, potem schwycił go, wcisnął do worka, worek na plecy zarzucił, cuhę z kołka zerwał i rzucił się ku drzwiom.

I starzy i młodzi, kobiety i dzieci, wrzeszcząc w niebogłosy, bryznęły z sieni, jak stado gołębi. Lecieli bez pamięci, przez

pola, przez ogrody, przez kłody i płoty; dopiero kiedy spostrzegli, że Tomek wcale ich nie goni, lecz idzie śpiesznie drogą ku ciemnym borom, zawrócili do wsi, nawołując psy, które z wielkiem szczekaniem i skowytem uciekły również razem z ludźmi.

Wieczorem był Tomek w karczmie.

— Nieszczęście!... — rzekł, siadając zmordowany na ławie.

Grzela przypatrywał mu się uważnie, ale nie kwapił wyjść z za szynkwasu.

— Co za nieszczęście? — spytał wreszcie ostrożnie.

— Porąbałem obrusik!

— Porąbaliście?.. A dlaczego?..

— Z gniewu. Ten wiatr północny tak samu trzeba porąbać. On umyślnie mnie tylko mami; daje rzeczy dobre na raz, żeby mnie przed ludźmi ostatecznie poniżyć, żeby mnie w tej ciągłej włóczędze zmarnować!... Cóż to ja małe dziecko, czy co?...

— A możeście obrusik daremnie porąbali, może on tylko źle leżał, rąbek sobie przecisnął, albo rożkiem się zawinął, albo się zaczepił i dlatego rozłożyć nie mógł?.. — wypytywał się współczująco Grzela.

— Ale gdzie tam! Leżał dobrze, tak samo jak tu!... Tylko może się obraził za to wydziwianie naówczas z powodu „siampana“ i likieru?!

— Czegoby się miał obrażać?.. Cóż to my nie ludzie?.. Jak sobie co kto w restauracji zamawia, to przecie żadnego wstydu to nie robi, kiedy czego niema!... — dowodził Grzela, a okiem wciąż strzygł na zasępioną twarz chłopca.

— Cóż więc będziecie robić?.. — spytał wreszcie po długiem milczeniu.

— Ano, chyba jeszcze raz pójdę!... Choć, doprawdy, nie

wiem, co staremu powiedzieć?!

— Powiedzcie mu to samo!... Poco mówić, żeście obrusik podziurawili? Niema potrzeby!... Wy mu powiedzcie, że się sam podarł, że takiej lichoty wy nie potrzebujecie, że wrzuciliście go do potoku... Musi wam dać coś innego!.. Przecie nie może ta wasza mordęga przepadać nadaremno... Jeno tym razem nic nie bierzcie oprócz pieniędzy. Bądź co bądź, tylko pieniądz to rzecz pewna... On się nie psuje... Jak go człowiek ma w ręku, to wszędzie jest panem i, co chce, dostanie... Pieniądz grunt!... I tu on wam już nic wsunąć nie może, bo za fałszerstwo pieniędzy przecie grozi kryminał!... — pouczał szynkarz Tomka, a gdy ten się zgodził, krzyknął na żonę, żeby im podała jeść, i znowu raczył Tomka herbatą z „rum-jamajką“, aż chłopak rozweselił się, roztajał i nawet wyjął z worka „obrusik“, aby pokazać przebite w nim dziury. Wtem, gdy go wyciągał, wypadła szmatka, rzucona wonczas przez królewnę. Chłopak, choć mu w głowie szumiało, zawstydził się, schylił po zgubę i chciał ją coprędzej schować, ale Grzela dostrzegł wszystko swem krzywem okiem i zaraz zapytał:

— A to co takiego?..

Tak, nic!...Jakieści płócienko!...

— Pokażcie, pokażcie!... Może przez to właśnie stracił siłę... Razem leżały!...

Zręcznie wyciągnął szmatkę z palców Tomka i długo oglądał przy świetle.

— Tam coś napisano, ale ja czytać nie umiem!...

— Napisano, powiadacie? — żywo zapytał Tomek. — To, to są litery? Bo ja też niepisemny!...

— A gdzie ją znalazłeś?.. Chcesz, zostaw, to tu kogo z

przyjezdnych poproszę, żeby przeczytał!...

Uparł się jednak Tomek i ani nie zechciał szmatki zostawić, ani powiedzieć, skąd ją ma.

— Jak chcecie. Ja wam dobrze życzę, a nie wierzycie mi, to nie!... A ja wam wierzę i choć nie zapłaciliście mi jeszcze za dawniejszy chleb i jaja, dam wam i teraz na drogę... Tylko to już ostatni raz!... Więcej nie starczy mego kapitału!...

Tomek podziękował, kazał przypisać nowy dług do swego rachunku i poszedł spać trochę zmartwiony tem przypomnieniem królewny.

— Wywołam ją, koniecznie ją teraz wywabię!... — układał sobie.

Istotnie, znalazłszy się pod „oknami“, -gwizdnął trzykroć wedle umowy; ale że nie schował się tym razem w krzaki i dobrze po skałach przedtem nie rozejrzał, więc zamiast królewny wysunęła się ze szczeliny kudłata głowa zbójnika. Musiał Tomek zmykać co tchu i całą drogę bał się, gdyż wciąż mu się zdało, że pościg za nim po kamieniach dudni.

Aż utonął we mgłach i osypiskach skalistych dolin.

Zziębły i niewesoły stanął po ciężkich trudach u lodowej doliny i zabębnił ciupagą po jej srebrzystych krawędziach. I zaraz ucichła wichura, opadła mgła i znana droga otwarła się przed nim.

Rychło znalazł się w grocie wichrowej i, stanąwszy z boku u stóp lodowego tronu, czekał, aż wichrzysko dobrze odsapnie.

— Znowu jesteś?... — zasyczał wiatr.

— A jestem! — odpowiedział Tomek. — Czego mi wymawiacie? Przecież nie z własnej ochoty przychodzę?! Żadna to uciecha marznąć, niedosypiać, niedojadać, nogi sobie po twardych kamieniach krwawić, na wilgoci, na deszczu, na

rosach i szronach bez dachu nad głową dniować i nocować... Żadna to uciecha!... Ale co mam robić?!... Swego nie mogę darować!... Nie mogę dopuścić, żebym zmarniał z matulą!... A że tyle trudu ponoszę i pracy napróżno tracę, to przez was, wietrze północny!... Przez waszą nieuczciwość!... Igracie ze mną, jak kot z myszą, zamiast cobyście mi odrazu porządną rzecz dali, to dajecie tak, co na jeden raz!... Zamiast odrazu wspomóc mię należycie, to mi każecie chodzić do siebie i kłaniać się już raz trzeci!... I poco?... Ja swego nie zostawię!...

Parsknął wiatr śmiechem, aż się zwały śnieżne z otaczających wiszarów posypały na Tomka, aż zasyczały, zagwizdały wokół sople i krawędzie lodowe.

— Tu śmiać się niema czego! — zaczął gniewać się Tomek, przytrzymując polatującą w tchnieniu wiatru cuhę. — Lepiej mnie odrazu zabijcie, niż tak się znęcać!... Jak śmierć, to śmierć, ale okpiwać się nie pozwolę, ani żartów stroić z siebie w żywe oczy!... Cóż to, jaki to porządek?! Młyneczek się popsuł, obrusik dwa razy się otworzył i stanął!... Została teraz dziurawa szmata!... Co mi z niej!... Weźcie ją sobie!... — krzyczał, wyciągając z worka porąbany obrusik i rzucając go pod nogi wiatrowi.

Ten nic nie odrzekł, tylko popatrzał na Tomka strasznemi lodowatemi oczami, aż się chłopcu zimno w sercu zrobiło. Ale im więcej się chłopak bał, tem więcej się gniewał — taki już miał charakter.

— Teraz już nie wezmę byle czego!... Teraz już musisz dać coś, co się nie zepsuje, zaco można wszystko dostać, co wszystko jest w stanie wynagrodzić!... Co jak się ma w ręku, to się wie, że się ma!... Co łatwo schować, przenieść, wymienić. A nie tam łomki młynek, albo dziwaczny obrusik!... Coś, co

wszędzie ma użytek i cenę, czego każdy pożąda i każdy umie użyć!... Co na całym świecie ma wagę i siłę... Słyszycie: musicie mi dać pieniędzy! — powtarzał Tomek nauki szynkarza.

Wiatr gwizdał zcicha szyderczo, nie spuszczając lodowych źrenic z chłopaka

— Głupcze, głupcze!... To tylko pewne, co własne!... Darowanemu koniowi nie patrzą w zęby... Dam ci jednak raz jeszcze, ale pamiętaj, że to raz ostatni!... — wyhuczał wreszcie przez zęby. — Widzisz tam pod półeczką tę drewnianą kózkę... Zabierz ją...

— Kózkę?!... Znowu jakąś kózkę?!... Poco kózkę!... Nie wezmę!... Nie mam jej czem żywić... Co mi z kózki?!... Znowu jakieś wykręty!... Mówiłem, że bez pieniędzy stąd się nie ruszę. Dawaj, wietrze, pieniędzy! — krzyczał gniewnie Tomek i uderzał ciupagą o stopnie tronu. Wypadkiem trafił starego w palec wysuniętej z pod płaszcza nogi. I natychmiast taka się zerwała burza, tak zaczęło wszystko wrzeć, dygotać, szumieć, huczeć i syczeć, że Tomek na chwilę stracił przytomność... Śnieg, chmury i powietrze, kawałki lodu i kamienie, z gór lecące, zmieszały się w jeden biały przeraźliwy odmęt, w jeden wichrowy wodospad. Zanim chłopak zrozumiał, co się stało, już go wir powietrzny pochwycił, już leciał na dół z kózką pod pachą, a wiatr mu cuhę jak żagle wydymał i niósł go niby okręt po śniegowem morzu...

Przyszedł do siebie i opamiętał się dopiero, gdy go wichura wypluła z wąwozu, gdy znalazł się na szerokiej, kamienistej dolinie, gdzie wśród kłębiących się mgieł błyskało słońce. Schował się między złomami, kózkę przed sobą postawił i załamał ręce:

— Co ja teraz nieszczęśliwy pocznę?.. Dokąd się obrócę?... Obrzydliwe kozisko, czego na mnie ślepia wytrzeszczasz? — rozgniewał się na kózkę i zamierzył na nią ciupagą.

— Beeee!... — zabeczała żałośnie kózka i trząchnęła bródką.

Żal się jej zrobiło Tomkowi.

— Cóż ona winna?... Biedne stworzenie!... A niech tam!... Pójdziemy razem w świat!... — mruknął i, wyjąwszy z worka sucharów, zaczął sam jeść i kózce kawałeczek podał. Gdy tak sobie suchary chrupali, wypogodziło się, błękitne niebo wyjrzało z poza podartej na szmaty mgławicy, wychynęły z obłoków czarne, straszliwe turnie i zamigotały w dolnie śliczne jeziora jak pawie pióra. Poweselał Tomek, popatrzał na świat i westchnął:

— Cóż, pójdę, gdzie mię nogi poniosą!... Nie zginę, mam ręce silne, to sobie jeszcze na życie zarobię... Nawet matuli poślę... Jednego mi żal, jednego mi żal — królewny!... Już tej nie zbawię, nie ujrzę... Zadręczą ją zbójnicy okrutni... Ale co ja mogę, biedny sierota!...

Łzy mu nabiegły do oczu. Wtem wietrzyki figlarne, co bawiły się, przetaczając małe mgiełki z głazu na głaz, ze zrębu na zrąb — podbiegły ku niemu i, poczochrawszy kędzierzawe runo na kózce, zaszeptały wesoło:

Kózko, kózko,
Stuknij nóżką!

Merdnęła kózka ogonkiem, spojrzała poczciwie na płaczącego Tomka i bęc kopytkiem w kamień. Zadźwięczało, zabłysło i z pod kopytka wytoczył się złoty, nowiutki dukat.

— O jej!... A co to?.. Nie jest ten stary taki zły, jak się

wydało!... A może dobrze się stało, żem go w palec uderzył... Może się zląkł w ostatniej chwili!... — rozważał Tomek, przypominając sobie nauki karczmarza. Dukat do kieszeni schował i na próbę znowu na kózkę zawołał:

Kózko, kózko,
Stuknij nóżką!

Ale kózka patrzała nań tylko, przekrzywiwszy główkę, zabeczała beeee! i ani myślała stukać.

— Ha! Cóż robić? Dobry i jeden dukat!... Pójdę. — Kozę z sobą wezmę, może szynkarz co mi względem niej poradzi!... On mądrala!... — pocieszał się Tomek.

Gdy wszakże nazajutrz rano, tak sobie przez żart, zawołał znowu na kózkę, czekającą na swój kawałek suchara:

Kózko, kózko,
Stuknij nóżką!

Kózka, o dziwo, znów uderzyła kopytkiem i wytoczył się z pod niego z brzękiem nowy, złoty dukat.

— Aha, więc codzień po dukacie! Dobre i to!... A zczasem to może się ją przyzwyczai dawać i więcej!... Przecież kura z początku co drugi dzień jajo znosi, a potem codzień! Wtedy nazbieram dużo-dużo pieniędzy, wykupię królewnę od zbójów! — rozważał radośnie.

Wesoło podśpiewując, gnał przed sobą kózkę znaną drogą wśród osypisk i skalnych rumowisk. Szła posłusznie, czasem sobie ziółko zgryzła mimochodem, albo skubnęła trawkę na zboczu.

Żadnego nie miał z nią kłopotu.

Dopiero w wąwozie pod zbójnićkiemi oknami, gdy zaczął przenikliwie gwizdać na królewnę i wykrzykiwać, gdyż długo się nie pokazywała, spłoszyła się kózka, wyskoczyła z gęstwiny nad potok i stanęła, becząc, wysoko na szpicu skały, jak szyldwach. Zląkł się Tomek, że go wyda przed zbójnickiemi strażami, już chciał biec, żeby ją napowrót do lasu napędzić, gdy wtem usłyszał ciche kroki za sobą i zbyrczenie okuć ciupagowych po kamieniach. Przywarował więc jak martwy w chróstach i nasłuchiwał. W samą porę, gdyż dwaj srodzy zbójnicy przeszli mimo niego, omało nań nie nadepnąwszy.

— Podział się gdzieś, niema go!... A może ci się przywidziało!... — mówił starszy.

— Haj!... Już go drugi raz tu widzę... Chodzi, gwizda, pokrzykuje!... Poznałem go odrazu; dawny nasz kuchta!... Poznałbym go zdaleka, nie pomyliłbym się nawet w nocy!... Dobrze pamiętam, jak to on nam most cisnął do siklawy!... Wielebym dał, żeby go chycić, pasy z niego, psoty, drzeć!...

— A co on tu robi?... Jak miarkujesz?

— Kto go wie?... Może nas wypatruje, a może kozy pasie?!

— To go trzeba koniecznie znaleźć!...

— Ba, i bardzo!...

Zaczęli znowu deptać po gęstwinie. Chodzą tuż-tuż koło Tomka, który zaszył się w dziurę pod wykrot i tchnąć nie śmie ze strachu. Pewnieby go znaleźli, gdyby nie kózka, która nagle beknęła na skale.

— Patrz, patrz!... To jego koza!... I on tam się pewnie gdzie schował w jakiej szparze!... Mówiłem ci, że pasie kozy!... — zawołał młodszy zbójnik.

— Haj!... Zabierzemy ją... Pocichutku zachodź z pod wiatru i ustrzel z flinty, a ja tu postoję, żeby na mnie patrzała.

Popełznął młodszy zbójnik do kózki, już na nią z flinty się zmierzył, gdy wtem merdnęła kózka ogonkiem, stuknęła kopytkiem i złoty dukat potoczył się do wody. Zdumiał się zbójnik, zaniechał strzelania, schylił się po pieniądz, na towarzysza woła. Zeszli się, oglądają złoto, a kózka w mig skoczy ze skały, a z pod wszystkich jej czterech kopytek pieniądze się w różne strony potoczą. Rzucili się zbójcy zbierać monety, na siebie wołają:

— Trzymaj ją!... Trzymaj! Złotem podkuta!...

Kózka tymczasem pomykała, złote ślady za sobą zostawiając Leciały za nią zbójniki, porzucały flinty i ciupagi, pogubiły kapelusze, schylając się, ze sobą się bijąc, złoto zbierając.

A Tomek od nich w las. Wtem patrzy, wije mu się nad głową, niby biały motyl, białe płócienko. Poznał pisanie królewny i, choć mógł się przed pościgiem zdradzić, wyskoczył na haliznę, ręce wyciągnął i czeka, aż mu z błękitów ten drogi płatek na piersi spadnie. Schwycił go, ucałował, spojrzał na zbójników, co w dali spoceni, ledwie dychający, darli się za długie włosiska nad kupą pieniędzy. Żal mu się zrobiło i złota i kózki. Już myślał, czyby na nich niewpaść z ciupagą, kiedy otarło mu się coś ciepłego, miękkiego o nogi. Była to kózka. Merda na niego ogonkiem i główką w las kiwa.

Poszli prędziutko, zaszyli się w ciemną gęstwinę i popod leszczyną, między cierniami i głogami, wilczemi ścieżkami przedarli się na podgórze, do borów sosnowych. Kózka go wiodła.

W parę dni potem wieczorem byli już pod karczmą. Zwolnił Tomek kroku, pokrzykuje wesoło na kózkę, która wciąż w bok skręca i ogonkiem merda.

— Poczekaj, głupia, muszę zajść, dług zapłacić... Zabawimy niedługo!... — woła na nią Tomek.

A Grzela już stoi na ganku, kłania się, uśmiecha:

— Niech będzie pochwalony, panie Tomaszu!... Cóż to, z przychówkiem, widzę idziecie!...

— A tak!... Kozę mi dał!...

— Zwyczajną kozę?... I wzięliście! Phi, toć to czyste drwiny!... Przecież tego nie starczy, kiedy ją sprzedacie, żeby nawet mój dług zapłacić!... A za wasze trudy i podróże cóż wam się ostanie? Hę?!

— Ha, może się tam co i ostanie!... — odrzekł Tomek dumnie, brzękając w kieszeni złotem.

Grzela, który miał słuch ostry, aż pobladł z ciekawości.

— Czegóż mu tu stoimy na wietrze po nocy!... Przecież tu się rachować nie będziemy?... Zachodźcie, panie Tomaszu, do izby i kozę ze sobą prowadźcie. bo tu ją jeszcze psy rozszarpią...

— O tak, koza, to jest taka koza, że gdzie ja, to i ona być musi!... — przechwalał się Tomek, ciągnąc za kark kózkę, która za nic wejść do karczmy nie chciała.

— Matko, gotujcie nam kolację, zanim się tu porachujemy, a żywo, bo pan Tomasz dziś jeszcze chce iść dalej!...

— Moiściewy, a dla czegóż to tak nami dzisiaj pogardza?! W taką ciem?!... Nie boicie się? Jeszcze was zbójniki ograbią!...

— Widziałem ja tych zbójników, widziałem! Wcale ich się nie boję!... — wyrwało się nieostrożnie Tomkowi.

— Co oni zrobią takiemu, jak wy, chwatowi?.. To pewna, żeście ich widzieli, bo oni tam, zdaje się, po drodze?.. — wypytywał się przebiegle Grzela.

Ale kózka szturchnęła niby niechcący Tomka różkami i chłopak w porę ugryzł się w język.

Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, karczmarz podszedł do tablicy, gdzie kredą stawiał krzyże i kreski na swych dłużników, i zaczął półgłosem rachować.

Dużo narachował, tak dużo, że Tomek się zdumiał.

— Słuchajcie, czy nie zadużo?... Za jajecznicę, za chleb, za kiełbasę tyli grosz?

— A rum-jamajka? A draj-madera?! A herbata?... A nocleg?... A w kominku umyślnie dla was paliliśmy, kiedyście przyszli zziębnięci? — wyliczał hardo Grzela.

— Zmiłujcie się, panie szynkarzu! Przecież i ja namełłem wam mąki i kaszy kupę i obiadem poczęstowałem...

— To co innego. To poczęstunek! Wy z tego macie honory, a ja z szynku, z podróżnych żyję!... Rok ciężki, przednówek twardy... Sami wiecie!

— No niech tam! — wzdychał Tomek, wyjmując z kieszeni dukaty.

Starczyło tych, co miał, jak obciął. Gdy nagle przypomniał sobie Grzela jeszcze jakąś gorzałkę i jakieś piwo-porter, które miał Tomek wypić. Daremnie wypierał się chłopak i przysięgał, że nie pił; Grzela zawołał żonę i ta przyświadczyła.

— Pijani byliście, nie pamiętacie! Musicie zapłacić, albo wam kozę zatrzymam na zastaw! — twardo powiedział karczmarz. — Gdzie ja was będę szukał? Nawet nie wiem dobrze, gdzie mieszkacie!

Zmartwił się bardzo Tomek, usnąć z frasunku nie mógł.

— Skąd wezmę?... Tyle tego złota zbójniki z kózki wytrzęsły, nic tam pewnie nie zostało!... — rozmyślał, przewracając się z boku na bak na twardej ławie.

— Dzisiaj już należny dukacik od kózki wziąłem, do jutra trzeba będzie czekać!...

Ale nie miał cierpliwości. Kiedy światło w komorze karczmarzów zgasło i uciszyło się wszystko, pocichutku podniósł się Tomek, ogarek świecy zapalił i, zasłoniwszy kózkę plecami od niedomkniętych drzwi komory, zaszeptał błagalnie:

— Widzisz, kózko, zabiorą cię, zostaniesz tutaj, niebogo... Nie starczyło mi!... Głupi byłem, rozrzutny, ale cóż robić!... Już ja się poprawię, poratuj mnie ostatni raz, wysil się!

Kózko, kózko.
Stuknij nóżką!

Kózka uważnie go słuchała, przechyliwszy na bok rogaty łebek. Ale nie zaraz posłuchała. Musiał jej wszystko od początku powtórzyć. Wtedy dopiero beknęła cichuteńko i stuknęła raz, stuknęła drugi, stuknęła i trzeci. Zabrzęczały dukaciki i potoczyły się aż pode drzwi szynkarzowej komory. Rzucił się zbierać je Tomek. Gdyby nie zapamiętał się tak bardzo, toby zobaczył bez trudności w szparze długi nos i krzywe oko Grzeli. Znikły one wszakże natychmiast, skoro Tomek głowę podniósł. Ucieszony Tomek pieniądze do trzosa pod głowę schował i usnął głęboko.

Na świtaniu obudził go karczmarz.

— Hej, chłopcze, chciałeś dziś rano wyjść, żeby na odwieczerz do domu zajść!... Wstawaj, już rozedniało!

Dźwignął się Tomek, gospodarzowi pieniądze na stół położył, o resztę prosi. Grzela trzęsącemi się rękami dukaty przeliczył, dorachował jeszcze do długu za nocleg kozy, za

świecy ogarek, za mycie zabłoconej podłogi i, wzdychając, wydał przynależną resztę. Tomek pieniądze do trzosa zgarnął, kupił jeszcze bochenek chleba, kiełbasy, obwarzanków dla matki i ruszył w drogę, pędząc przed sobą kozę.

Zorza dobrze już pozłociła pola, śniade od rosy. Ciepły wietrzyk szeleścił w wysokich zbożach. Blade chmurki płynęły, hen, z za ciemnych borów, od wysokich, błękitnych gór.

— Ziemi kupię, nowy dom wybuduję, statek wszelki: brony, sochy zaprowadzę, wóz żelazem kuty sprawię, parę koni, pięć krów, dziesiątek owiec... Matulę na gospodarstwie osadzę, a sam pójdę dobywać królewnę!... — układał sobie Tomek, idąc pylną drogą.

Koza tłukła się przed nim, musiał ją raz wraz nogą popychać, tak łapczywie chwytała po drodze to ździebełko trawy, to kłos zboża.

— Zmarnowała się od tego złota!... — rozważał Tomek, spoglądając na chude boki zwierzęcia.

Ale kiedy wzeszło jarzące słońce i oświetliło każdą słomeczkę i kłosek na niwie, każdy listeczek przydrożny, kamyczek i ziemi grudkę, każdy włoseczek na kozim grzbiecie i każdy skręcik jej rożków — zdziwił się i zląkł trochę Tomek, taka mu się kózka inna wydała. Przedewszystkiem dawniejsza miała cieniuchną, miękką, zupełnie czarną bez odmiany wełnę. Tylko na podgardlu białą miała łatkę. Ta zaś na podgardlu miała dużą łatę i brzuch płowo podpalony i na zadzie białą kropkę i szerść brzydką, rudawą. Tamta miała oczy piwne, czyste, jakby zrobione z jasnego kamienia — agatu; ta miała oczy jakieś pstrokate, wyłupiaste, a co gorsza zaropiałe, kaprawe. A głównie była strasznie głupia, nic nie słuchała,

wciąż tłukła się z jednej strony drogi na drugą.

— Pewnie dlatego, że zdrożona!... Wywczasuje się i wszystko powróci!... — pocieszał się Tomek.

Gryzł go jednak niepokój i, kiedy pod wieczór zdaleka wioskę rodzinną zobaczył, zatrzymał się i zaczął rozmyślać:

— Co będzie, jeżeli się znowu omyłka okaże?... Jeszcze mnie ludzie zwiążą, zupełnie mnie za warjata poczytają!... Spróbuję ją lepiej tutaj!... Przecież od północka się dzień liczy... Musiała więc już od wczorajszych dukatów odpocząć!....

Usiadł na uboczu, na kamionce wśród miedzy, wyjął z worka sucharów, sam zjadł; kozie dał, a gdy zjadła, powiedział jej długą i czułą przemowę o matce, o wiosce, o tem, jak to dobrze będą się oni z czasem mieli:

— I tobie będzie dobrze!... Z dębowego żłobka będziesz jadała, z lipowego wiadra będziesz pijała! A teraz,

Kózko, kózko,
Stuknij nóżką!

Kózka jadła sobie najspokojniej trawę, ani nawet nie spojrzała na Tomka.

Kózko, kózko,
Stuknij nóżką!

Powtórzył chłopak ostrzej.

Koza nic.

— To od zmęczenia!... Ale nie mogę przecie z taka koza do domu iść!... Zaraz mnie z nią w wiosce zobaczą, zlecą się jak te wrony, zaczną krakać, matulę straszyć!... Lepiej przenocuję

gdzie tu w zbożu, a jutro z dukatem przyjdę... Nic im nie powiem! Poco mówić, pieniądze mają najlepszy głos... Zaraz się przekonają, gdy złoto zobaczą!... — rozważał Tomek.

Schował się w zbożu, ciupagę głęboko w ziemię wbił, kozę do ciupagi przywiązał.

Cicho stała koza i jadła chciwie niedojrzałe zboże

— Zapłacę za szkodę!... — pocieszał się, zasypiając Tomek.

Gdy nazajutrz obudził się, koza leżała na ziemi rozdęta jak beczka, ledwie zipiąc!

— O rety!... Co za uroki!... — wrzasnął chłopak, chwytając się za głowę. Zaczął kozę ratować, trząsł nią!, stawiał na nogi, ale już stygła.

Padł twarzą na ziemię i zapłakał. Ryczał, ryczał jak bóbr do samego południa. Deszczyk go ocucił i z pola spędził. Powlókł się zadworkami ku matczynej chacie, ale wejść nic śmiał. Schował się w kartoflanym dole i stamtąd przyglądał się, jak matka po obejściu się krzątała i jak coraz to, przysłoniwszy oczy dłonią, na drogę poglądała.

— Mnie wypatruje!... — jęknął Tomek i taka go żałość wzięła, że znowu płaczem wybuchnął.

— Co to jest?! Co to jest? Co za nieszczęście prześladuje mnie? Całą drogę wszystko idzie dobrze, a koło domu nagle się odmienia!... Jaka w tem moja wina, jaki powód?! Pójdę ja do tego północnego wiatru... Nie będę go prosił o nic, ino mu wszystko poszczególnie opowiem... Niech osądzi, niech mi powie, jaki powód?... Bo bez tego, to niema dla mnie więcej na ziemi spokoju!

Jeszcze płakał, ale, że już postanowienie miał, więc się trochę uspokoił, jeść mu się zachciało, worek rozwiązał, wyjął chleb, kiełbasę i zaczął przegryzać. Potem wszystkie swe

zapasy wyjął i jął kalkulować, czy mu na drogę starczy, bo postanowił tym razem nigdzie już nie zachodzić, nie wypoczywać. Gdy tak rzeczy przeglądał i układał, tknęło go coś, ponieważ pisania królewny nigdzie nie znalazł:

Gdziebym mógł zgubić?! Przecież nigdzie nie wyjmowałem!... To ci historja?! — martwił się. — Nie dowiem się już o niej, o niebodze, nic! Będą ją teraz pilnowały zbójniki, gorzej od psów, skoro raz mnie spostrzegły!... Niedadzą dostępu, nie!...

Szedł, rozmyślał o wszystkiem, ludzi omijał, wsie obchodził stronami, mimo karczmy przemknął się nocą, jak złodziej, i wstyd mu było czegoś i straszno.

— Jak nic nie wskóram, to pójdę w świat, gdzie mnie oczy poniosą, do sinego morza!... Albo jeszcze i za morze!... Zatracę się wśród ludzkiego mrowiska, będę pracował, aż swojego dopnę... Ale królewnę tymczasem zbójniki sprzedadzą!... Oj, dolo moja!

Wśród kamienistych dolin, pustych i zachmurzonych, na zimnym wietrze smętek i strapienie dokuczały mu jeszcze gorzej. Z niechęcią myślał o długiej drodze po ostrych głazach. Przezwyciężył się jednak.

— Cóż robić!... Muszę dojść raz jeszcze do wiatru północnego, bo bez tego nie będę wiedział, kto winien!... Powie mi!... Dlaczegoby miał nie powiedzieć?... Rozważywszy sprawiedliwie, dotychczas był dla mnie bardzo dobry. Za lichą garść mąki dał mi takie śliczne podarunki... A że się zepsuły, to niewiadomo, kto tu zawinił?... Może ja?... Przyznam się, wszystko mu opowiem, jak na spowiedzi, niech sądzi!... Czy aby mnie do siebie dopuści?! W tem rzecz!...

Gdy po wielu wysiłkach, zbiedzony i smutny stanął

nareszcie u lodowych zrębów wąwozu i zazbyrczał trzykroć ciupagą po białych krawędziach, a mimo to przejmująca wichura nie ucichła, serce mu zadrżało. Jeszcze i jeszcze dzwonił po lodach ciupagą, ale zamieć nie ustawała, owszem zdawała się wzrastać i wydało się Tomkowi, że w gwiździe i w ryku jej rozbrzmiewa śmiech i naigrawanie. Zaciął usta, kapelusik nasunął na oczy i popod ścianami wąwozu jak za pierwszym razem, kryjąc się za występami śniegu, lodu i skał, popełznął przeciw wiatrowi. Z niezmiernym trudem dobrnął nareszcie do pieczary wichrowej. Tu go wiatr zwalił na progu i próbował wydmuchnąć do wąwozu. Ale Tomek wbił ciupagę głęboko w zaspę i zapomocą niej wciągnął się w znane sobie miejsce zaciszne.

Wiatr północny zdawał się go nie spostrzegać. Śnieżną głowę wsparł na dłoni lodowej i, patrząc w kłębiące się przed nim skręty zawiei, dumał i dyszał.

— Wietrze, wietrze północny, przyszedłem!... Znowu przyszedłem! — szepnął Tomek, przysuwając się do ogromnych, jak kłody, nóg starca.

Wiatr ani drgnął.

— Wietrze, wietrze północny!... — zaczął krzyczeć zrozpaczony chłopak. — Przychodzę, doprawdy, po raz ostatni... Nic nie chcę, tylko mi wytłumacz, jak to się stało, że wszystko, coś mi dał, okazało się nicwartem!... Wytłumacz mi, dlaczego podarunki twoje przeciw mnie się obróciły... Dlaczego ludzie wyśmiewają się z moich trudów?... Przecież wszystkim im dobrze życzę!... Ze wszystkimi chciałem się podzielić twojemi darami!... Wietrze, wietrze, zmiłuj się!... Ty nawet powinieneś mi to powiedzieć, gdyż gorzej im teraz jest na świecie, niż wtedy, kiedyś mi porwał ostatnią garść mąki!...

Wtedy byłem tylko biedny, teraz jestem samotny, przez wszystkich opuszczony, przez wszystkich wyśmiany!... Nawet własna matka uważa mnie za warjata, a ludzie żartują sobie ze mnie, albo uciekają przedemną!... Nikt mi nie wierzy, wszyscy podchodzą do mnie ostrożnie, przyglądają mi się uważnie, jak dzikiemu zwierzowi!... Wietrze, wietrze północny, nic nie chcę, ino wróć mi, co było dawniej, niech będę jak dawniej zwykłym, ubogim chłopakiem.

Wiatr północny nagle wstrzymał dech i zwrócił ku Tomkowi groźne oblicze.

— Tego uczynić nie mogę!... Nikt nie może cofnąć tego, co się już stało!... Można jedynie korzystać z doświadczeń! Powiedz wszystko, coś robił po drodze, gdzieś się zatrzymywał, coś mówił, ale nie zataj nic, bo... biada ci!...

— Czy od samego początku?... Czy i o żydkach opowiedzieć?... — spytał Tomek, drżąc z zimna i przerażenia.

— Wszystko... wszystko!... — zasyczał wiatr.

Powtórzył więc Tomek szczegółowo o wilkach, o żydach, o karczmarzu Grzeli, o zbójnikach, o królewnie, o swej powrotnej podróży, o noclegu w karczmie; powtórzył swe rozmowy z szynkarzem, opowiedział o swych pijatykach...

Wiatr północny słuchał uważnie, wsparłszy swą śniegową głowę na lodowatej dłoni i od czasu do czasu tylko wybuchał śmiechem szyderczym. A gdy Tomek skończył, powiedział mu, wskazując na kąt z zabawkami królewny:

— Weź stamtąd to puzdro lipowe i postaw tutaj!

Ucieszony chłopak w mgnieniu oka odnalazł puzdro i postawił je na stopniach lodowego tronu.

Wiatr zupełnie wiać przestał, zrobiło się trochę cieplej. Promień słońca przebił się między osiadającemi w wąwozie

mgłami. Zaiskrzyły się, zagrały tęczowo śniegi i sople lodowe dokoła tronu wiatru północnego. Koronki szronów zamigotały jak złote. Nawet surowa twarz wiatru zalśniła się dobrotliwie, a długa, biała jego broda, ścieląca się aż po ziemi, zabłyszczała jak utkana z diamentów.

Tomek czekał niecierpliwie, co będzie dalej. Już sobie wyobrażał, jaki to pewnie śliczny będzie podarunek, jeżeli nawet słońce go wita. Wtem rozległ się cichy szept:

Muchy i osy,
Chwytajcie za kosy!...

I natychmiast z otworów puzdra zaczęły wylatywać chmary much, komarów, os, bąków i rzuciły się na Tomka. Chłopak skamieniał, ale gdy go zaczęły porządnie ciąć, łaskotać, załazić w nos, oczy, uszy, zakrył twarz rękami i rzucił się do ucieczki w najciemniejszy kąt pieczary. Owady leciały za nim i nie ustawały w napaści. Biegał więc, wrzeszcząc, po całej jaskini, a tymczasem nad nim w górze szumiał głos wiatru północnego:

— Nie dlatego cię karzę i dręczę, żebym chciał ci przykrość zrobić, ale dlatego, że nie posłuchałeś moich spokojnych rad i łagodnych napomnień... Sam poniżyłeś się, złamawszy swe obietnice... Muszę użyć tego brzydkiego sposobu, aby wbić ci w pamięć moje warunki, na które zgodziłeś się przecie!... Nie wstępuj do karczmy, nie ucztuj, nie zajadaj smakołyków, nie upijaj się, nie trać czasu i pieniędzy, kiedy chora matka z głodu przymiera!... Nie wdawaj się z nicponiami!... Nie pysznij, nie przechwalaj!... Nie wywyższaj!...

— Już nie będę, już nie będę!... Ojej!... uduszą mnie!... Zmiłuj się, wietrze północny!... — wołał Tomek, rzucając się

jak szalony z kąta w kąt.

— Nic ci nie będzie!... A że cię trochę poboli, to nic!... Przez zwyciężanie cierpienia, przez trud, przez szacunek dla siebie i dla innych osiągają ludzie dobroć i mądrość!

Usłyszał to Tomek i nagle wróciła mu cała dawna duma. Stanął jak słup, ręce opuścił i iskrzącemi oczyma spojrzał na wiatr północny, poprzez obłoki rozjadłych, brzęczących groźnie owadów. Napadły nań z większą jeszcze wściekłością. Nie bronił się, nie uciekał, tylko ręce zaciskał.

— Dość już!... Pójdę sobie!... Nic od ciebie nie chcę, przeklęty wietrze północny!...

Ale wcześniej nim to powiedział, już wiatr północny syknął:

Muchy i osy,
Schowajcie kosy

Obłok owadów opadł natychmiast i Tomek ze zdziwieniem spostrzegł, że szybko wsiąka do puzdra niby woda do gąbki. Jednocześnie ogromne, lodowate palce schwyciły Tomka za kark, postawiły na wielkiej, jak zamarzłe jezioro, roztwartej dłoni i usta ogromne, jak wierzeje, dmuchnęły nań z tyłu. Pęd powietrza porwał Tomka jak piórko i poniósł, rzucając w kłębach rozszalałej w wąwozie zawiej jak w falach burzliwego potoku. Za nim, dudniąc i turkocąc po zaspach i złomach, toczyło się zaczarowane puzdro.

Opamiętał się Tomek dopiero na środku kamienistej doliny. Przysiadł, śnieg z siebie otrzepał, potarganą, cuhę poprawił. Spojrzał z ukosa na leżące opodal straszne puzdro i zamyślił się. Znowu przypomniał sobie wszystkie szczegóły swych wędrówek, opowiedzianych przed chwilą, wiatrowi

północnemu, zestawił z tem, co mu gadał i wymawiał wiatr, i nagle wszystko mu się rozjaśniło:

— Aha!... To tak!... — szepnął. — W takim razie to może się jeszcze da naprawić!... Głównie, abym conajprędzej do ludzi dobrnął!...

Zajrzał do swego worka, wyjął resztę zapasów, podzielił je na równe części, jedną zaraz zjadł, resztę schował do worka i ruszył zaraz dalej, nie paląc ogniska, choć mu ziąb mocno dokuczał.

Raz tylko nocował u wodospadu. Nie zatrzymywał się nawet u „okien zbójnickich“, nie wywoływał królewny, chociaż serce mu mocno przy tem przejściu biło i słodka mroczyła tęsknota.

— Poczekam jeszcze trochę!... — pocieszał się. — Teraz z mojem pudłem lipowem napewno ją oswobodzę!... Pierwsza rzecz, co zrobię, to tutaj przyjdę... Ale muszę mieć pomoc, bo tu są dwie dziury, to mi zbójnicy umkną i królewnę uprowadzą! Więc najpierw inne rzeczy muszę załatwić i pomocników sobie poszukać... Pocierp jeszcze krzyneczkę, królewno! Pocierp!... — wzdychał, drapiąc się wśród skał i spoglądając w górę na nieszczęsne czarne okienka.

Szedł dzień i noc, krótko sypiając. Jedzenia miał mało, ogień palił rzadko, wiatr go ziębił, deszcz smagał, wychudł, zmizerniał, ale był pełen otuchy. Puzdra, w którem od czasu do czasu coś szumiało i brzęczało, pilnie strzegł i od wiatru i od słoty, osłaniał cuhą, woląc sam moknąć i ziębnąć.

Dostał się wreszcie na równiny i pod wieczór dostrzegł w oddali karczmę. Przetarł oczy i wystraszył się, myślał przez chwilę, że zabłądził. Ale nie, okolica była ta sama, ta sama poręba drogi leśnej, którą tylko co przebył, to samo stare, pokrzywione karczmisko... Cóż więc znaczył czerwony

budynek, co się obok niej wznosił, Roiło się koło niego od ludzi i wozów.

Gdy podszedł bliżej, spostrzegł, że to był piękny, budujący się dom. Pośrodku ludzi przed wjazdem stał krzywy Grzela w palonych butach, w kapeluszu słomkowym, w nowym, dostatnim kubraku, pokrzykiwał, rozkazywał i wciąż naradzał się z drugim jegomością z miejska ubranym, zapewne majstrem mularskim. Ludzie już schodzili z budowy, zabierali narzędzia, zdejmowali fartuchy; wozy cicho turkocąc odjeżdżały w stronę widniejącej w oddali wioski.

Tomek nie śpieszył się, umyślnie zwolnił kroku, przystawał, a przed budowlą nawet się zatrzymał i, postawiwszy puzdro przed sobą na widoku, przyglądał się ruchowi. Zobaczył go Grzela, ale udał, że go nie poznaje. Dopiero kiedy wszyscy robotnicy odeszli, zbliżył się niby wypadkiem i kiwnął Tomkowi głową.

— A co to? Znowu chodziliście?

— A znowu!...

— No i co?

— A nic!... A pan co tu takiego buduje!?

— Buduję... re-sta-ura-cję!... — przeciągnął dumnie Grzela. — Zebrało się trochę grosza uczciwą pracą, to i buduję!... Tutaj u mnie wszystkiego będzie można dostać, to będzie prawdziwy zajazd z oberżą!... Trzeba się starać, zabiegać koło swego majątku, bo majątek, to grunt!... Wszyscy się przed bogatym kłaniają, a na biednego, choćby był mędrcem, psy szczują... Ot i teraz wszyscy mi mówią: panie Grzegorzu! Szanowny panie Grzegorzu! A przed miesiącem jeszcze byłem „krzywym Grzelą“! Taki to jest świat, taki!...

— Cóż to? Skąd zmiana? Zbogaciliście się przez ten czas!...

— spytał zniechcenia Tomek.

— Tak, uciułało się tam trochę. Baba moja spadek dostała po stryju z Ameryki... W restauracji jeszcze lepsze będą zarobki!... Jak myślicie, panie Tomaszu? — zapytał przyjaźnie, zerkając ciekawie na lipowe puzdro. — Cóż: zajdziecie na stare legowisko? Późno już. Wypoczniecie z drogi, wywczasujecie się. Pogadamy. Baba nam jajecznicy usmaży z kiełbasą a i *tego* znajdzie się butelczyna!...

Stuknął się palcem po wystającej grdyce i rzucił spojrzenie z ukosa na lipowe puzdro, w którem zabrzęczało nagle jak w ulu.

— Ta skrzyneczka też od wiatru północnego?

— Od wiatru!... Taka tam lichota! Nie miał nic lepszego! — odpowiedział niechętnie Tomek.

— A tamte rzeczy?... — spytał ostrożnie Grzela.

— Popsuły się.

— To się wie. Oszust stary. Dawał wam gruchoty. Myślał, że się wam chodzić sprzykrzy, ale nie na takiego trafił! A cóż wam tym razem dał? — wywiadywał się ciekawie, gdy siedli za stołem, a szynkarzowa zabrała się do smażenia jajecznicy.

Tomek odpowiadał półgębkiem, ni to ni owo. Ale im bardziej się wykręcał, tem zacieklej wypytywał się karczmarz. Kose oczy rozgorzały mu jak latarnie.

— Oho! Zmądrzeliście przez ten czas, strasznie zmądrzeliście. A więc wypijcie kieliszeczek, bo od przybytku głowa nie boli!... — zapraszał serdecznie Tomka.

Kiedy zaś ten wymówił się od wódki, Grzela rozgniewał się nie na żarty.

— Nie, to nie!... Ale pamiętajcie, że wzgardziliście mną. Jeszcze przyjdzie koza do woza. Przekonacie się, że nie mieliście szczerszego odemnie przyjaciela... Młodzik jesteście,

a no zadzieracie... Bóg was za to ukarze, za nieufność! Nie chcecie powiedzieć, co w tem puzdrze, to nie! Ale zobaczycie, że stanie się wam i teraz to samo, co z tamtemi rzeczami!... — wygrażał mu się chmurnie.

Szynkarka z za szynkwasu też dogadywała:

— Moiściewy, taki smarkul, a też się dmie!... W domu u matuli siedzieć, a nie włóczyć się po drogach!

Tomek zęby z gniewu zaciskał, ale milczał, chciał się dokumentnie dowiedzieć, czy jego podejrzenia miały słuszność.

— Powiedzcie lepiej, jak to się stało, żeście tak nagle zbogacieli? — zapytał grzecznie.

— He, he!.. Mówiłem wam: baba spadek amerykański dostała, a i ja skarb wykopałem, o tu w lesie pod brzózką!... Skarbów tu wiele po zbójnikach... Umiem ich miejsce poznawać, to i was nauczę, ino powiecie, co macie w tem pudle...

— Poco wam wiedzieć? Co mam, to mam! Zresztą... jutro wam powiem po dniu, a dziś spać pójdę, bo chciałbym rano w drogę wyruszyć!...

— Jużci, że wyspać się należy po takiej drodze!... I za to Bóg zapłać, że choć jutro powiecie, gdyż ciekawy jestem... Takie mam przyrodzenie, że od ciekawości goreję... Umrzeć wolę, niż się czego nie dowiedzieć! Takie mam przyrodzenie! — wesoło już dogadywał Grzela.

Posłali karczmarze Tomkowi na ławie i poszli do swojej komory.

Mimo znużenia nie mógł Tomek usnąć. Czegoś się bał, jakieś przeczucie wewnętrzne mówiło mu o grożącem niebezpieczeństwie. Złe błyski w krzywych oczach Grzeli

przychodziły mu na myśl. A kiedy usłyszał w komorze stłumione szepty i dostrzegł raz i drugi wychylającą się z poza drzwi głowę ludzką, zupełnie mu się spać odechciało. Leżał jednak cichutko, nie ruszał się, czekał, co będzie dalej. Już na świtaniu drzwi skrzypnęły i wysunął się z poza nich szynkarz boso i tylko w bieliźnie, niosąc w rękach pudło, zupełnie podobne do tego, które Tomek przyniósł od wiatru północnego. Szynkarka stała u progu i świeciła mu dołem latarką. Tomek zamknął oczy.

— Co? Śpi?... Strzeż się, bo cię jeszcze ciupagą grzmotnie!...

— A bo ja to w ciemię bity?! Już wczoraj odstawiłem mu ciupagę w najdalszy kąt... Zresztą śpi, chrapie!... Tyli świat drogi, zmordował się drągal... Ledwie gadał wczoraj!... To nic!... Dziś powie nam zaklęcie, a my już sami wypróbujemy... Znowu pewnie jaka mądra sztuka, jakie nowe bogactwo!... Będzie dobrze, stara!... Nic się nie bój, tylko świeć dobrze, żebym się nie potknął!... — szeptał cichutko Grzela, posuwając się na palcach do ławy Tomka. Postawił swoje pudło obok pudła Tomka i już wyciągnął rękę po tamto, gdy zabrzmiał surowy głos chłopca:

Muchy i osy,
Chwytajcie swe kosy!

Przerażony karczmarz skamieniał, karczmarka aż przysiadła do ziemi. A tymczasem z szumem, brzękiem wysypywały się z czarodziejskiego pudła chmary owadów i zwartemi szeregami rzuciły się na oszustów.

— Ojej!... Co to jest?! Rozbój!... — wrzasnął rozpaczliwie

szynkarz. Szynkarzowa jeno sapała jak miech i machała w powietrzu latarką. Ale owady najmniejszej na to nie zwracały uwagi. Setki ich padały od uderzeń, setki innych leciały natomiast i z groźnem brzęczeniem rzucały się wprost w twarz, na gołe ręce, na plecy, na piersi przeciwników. Szynkarz, a za nim i tłusta szynkarka, wyciągnąwszy przed siebie ręce, zaczęli zmykać. Przez ławki, przez stoły pędzili na oślep, rozbijając się o mury i sprzęty. Nic nie pomagało.

A Tomek tymczasem grzmiał głośno:

— Ludzi nie oszukuj!... Przechodniów nie spajaj!... Cudzą, krzywdą się nie bogać!... Nie kłam, nie cygań!... Coś ukradł, oddaj!... Oddaj!... Oddaj!...

— Nic nie mam do oddania!... Ty zbóju, ty zbóju!... Ja cię zaskarżę do sądu!... Zawołam na ciebie policję!... Zaraz zabieraj swoje muchy, włóczęgo przeklęty!... — krzyczał Grzela, który nareszcie dopadł do komina i, schwyciwszy stamtąd tlejącą głownię, zaczął nią skutecznie obmachiwać się przed owadami.

— Chodź tu, stara, chodź!... Nic nam tu nie zrobią!... — wołał zwycięsko na żonę, która, wlazłszy pod szynkwas, jęczała tam tylko żałośnie. Popełzła ku niemu na kolanach, zakrywszy głowę fartuchem. Stropił się Tomek, gdyż odpędzone ogniem i dymem owady, choć stały zwartą, brzęczącą ścianą przed kominem, bały się jednak ku szynkarzowi posunąć. Grzela błyskał z komina oczyma jak wściekły wilk i srożył się coraz gorzej; baba klęczała przed nim i szlochała.

— Łobuzie, urwipołciu!... Porządnych ludzi napadasz?! Rozmaite gusła i czary po świecie roznosisz!... Poskarżę się na ciebie księdzu, do gubernatora dojdę!... W więzieniu zgnoję

ciebie i twoją głupią matkę!

— Oddaj, coś ukradł!... — powtarzał uparcie Tomek. — Do sądnego dnia tak cię będę trzymał!

— Nie boję się!... Ludzie na budowlę przyjdą, zaraz mnie zwolnią!...

— Zwolnią albo i nie zwolnię!... Rewizję będą musieli zrobić, po wójta poślę!...

— Mój Boże!... Taki wstyd?! Oddaj mu, Grzela!... Niech sobie idzie!... I tak porządnie skorzystaliśmy przy nim!... — jęczała szynkarka.

— Coś ty zwariowała, kobieto!... — krzyknął na nią mąż. — Oddawaj mu, jeśli co masz?! Ja bo nic nie mam prócz swego!...

— A oddam!... Wcale nie chcę tu do sądnego dnia siedzieć, jak ten czarownik obiecuje! Albo oczów się wyzbyć!... Mówiłam ci, że z twoich sprawek nic dobrego nie będzie! O, ja nieszczęśliwa! — biadała szynkarka, spoglądając na brzęczącą chmurę, która całą wypełniała izbę.

— Ani się waż!... Ani się rusz!... — wołał Grzela.

— Zabiorą, i tak zabiorą!... Tylko wstydu się najemy!... I jeszcze mnie do więzienia przez ciebie, złodzieju, wezmą!... — rozbijała się coraz bardziej baba.

— Hej, panie, każcie mnie tym osom przepuścić! Poprowadzę was, gdzie wasze rzeczy schowane. Tylko skarżyć się na nas do sądu nie będziecie, co? A i to, co my z tych waszych cudów wzięli: mąki, krupy, pieniędzy, to zostawicie nam!... Obiecajcie!

— Dobrze, niech zostanie!... — zgadzał się Tomek.

— Głupi Grzela, słyszysz! Zgódź się, chodź!... — nalegała baba.

— Nie!... — wrzeszczał szynkarz, wymachując głownią,

gdyż owady znowu ruszyły do szturmu.

Tymczasem szynkarka, wypuszczona przez nie na rozkaz Tomka, przemknęła się do komory, a stamtąd tylnemi drzwiami do śpiżarki. Tomek szedł za nią krok wkrok z ciupagą w ręku, gotowy do obrony w razie napaści. W śpiżarce na półce znalazł swój obrusik, swój młyneczek, a nawet, ku wielkiej swojej radości, płócienka, zapisane pismem królewny.

— Nawet to skradł mi łotr!... I co mu z tego? — pytał z goryczą Tomek.

— Myślał, że to największy skarb, bo nie mówiliście o tem nic!... — tłumaczyła szynkarka.

Tomek schował pismo królewny na piersiach i udał się do chlewka, gdzie Grzela ukrył kózkę. Zobaczywszy go, zwierzątko zabeczało radośnie i nieproszone wystuknęło kopytkiem złotego dukata.

— To dla ciebie, szynkarko, za wczorajszą jajecznicę i nocleg! — powiedział Tomek, wyprowadzając kózkę.

Baba obtarła łzy i schyliła się po pieniądz.

— Bóg wam zapłać, panie. Niezgorsi jesteście i serce mnie bolało, że was mój krzywdzi, ale co ja mogłam z nim zrobić... Zaraz mnie bił i groził, że zabije!... Com ja się nacierpiała... — żaliła się płaczliwie.

Wtem straszny wrzask rozdarł za nimi powietrze. Obejrzeli się i spostrzegli Grzelę, który wyskoczył ze drzwi w chmurze owadów i popędził z wielkim kwikiem i rykiem ku lasowi.

— Oj, panie! Oj, paniczu mój złoty!... Nie zatraćcie go, nie dajcie go zjeść!... Hultaj on, ale zawsze mój, w kościele poślubiony... Darujcie mu, niech już ta żyje!... — prosiła baba, padając do nóg Tomkowi.

Tomek nie był zawzięty, swoje odebrał, kózką się ucieszył;

zaraz więc wyciągnął pudło z izby i krzyknął, ile miał głosu:

Muchy i osy,
Schowajcie kosy!

I zaraz z szumem, brzękiem napłynęły z boru groźne roje i zaczęły wpełzać w otwory puzdra. Wystraszona widokiem owadów baba schowała się do izby, skąd tylko przez okienko widać było jej ciekawy nos, a Grzela nie pokazał się wcale. Tomek zabrał swój worek, ciupagę, cuhę, kapelusik z sokolem piórkiem i ruszył w drogę, tak miarkując, aby już w noc głęboką zajść do domu.

Niepostrzeżenie przeszedł zasypiającą wioskę rodzinną, pełną zapachu świeżo pieczonego chleba i snopów zboża, zwożonego z pól.

— Urodzaj!... — pomyślał z radością Tomek, popędzając opóźniającą się kózkę.

W jego chacie jeszcze tlił się ogieniek i, gdy zajrzał przez okno, ujrzał matkę szorującą podłogę przy świetle łuczywa, jak zwykle w sobotę. Pocichutku zapędził kózkę do chlewka i wszedł do sionki. Jednocześnie drzwi się otwarły.

— A kto tam tłucze się po nocy? — spytała ostro wdowa.

— To ja, matulu, wracam!

— Wracasz?! O mój Boże!... Chodż-że, chodż!... Czego stoisz za progiem?

Tomek wszedł, schylił się i objął rękami mokre spracowane nogi matyczyne.

— Siadaj, siadaj!... Dobrze się stało, że jagieł z obiadu zostało... Chleb świeży upiekłam!... — krzątała się wdowa koło posiłku.

Tomek tymczasem zdjął worek, powiesił go na kołku, ciupagę w kątku postawił i skromnie przysiadł na rożku ławy.

Matka nakryła przed nim czystym ręcznikiem stół i postawiła misę z gorącą kaszą, położyła łyżkę i kawał pachnącego, razowego chleba.

— Uwinęłam się bez ciebie, synku, zżęłam, związałam, trochę nawet omłóciłam... Sąsiedzi pomogli... — mówiła wpatrując się w jedzącego czule i lękliwie zarazem. — Zmizerniałeś, nieboraku, obdarłeś się!... Na długo przyszedłeś?!...

— Nazawsze, matulu, nazawsze!...

Plasnęła rękami z radości. Chciała go pytać, gdzie był, co robił, ale się bała.

Znowu zacznie bredzić o tym wietrze północnym! Aż mrowie człowieka przechodzi! Niechta się wyśpi, wydyszy, może, Bóg da, przejdzie wszystko i na lepsze się obróci!...

Tomek tymczasem rozpytywał się o różne szczegóły gospodarcze, o sąsiadów, o urodzaje, o ceny na zboże, na ziemniaki, na ziemię. Cieszyła się wdowa, że tak po ludzku mówi, ale gdy, idąc spać, pogładziła go po głowie, nie mogła wytrzymać, przytuliła tę kochaną głowinę nagle do wyschłych piersi i ryknęła płaczem na cały głos.

— Oj, synku, synku, Tomku mój serdeczny!... Już ty nie odchodź więcej, nie zostawiaj mnie samej, starej, na poniewierkę ludzką...

— Nie pójdę, nie pójdę, matulu, nie opuszczę cię!... — uspokajał matkę Tomek.

— I bądź jak inni, nie wymyślaj, nie wydziwiaj, nie rzucaj się z siekierą na ludzi, jak ostatnim razem!... Dobrzy byli dla mnie sąsiedzi, wspomagali niebogę...

— Odpłacę im, odwdzięczę się, matulu, zobaczysz! — mówił cicho Tomek. — A teraz śpijcie, boście zmęczeni, ja pójdę spać na siano!... Mnie dusi tu w izbie po wolnem powietrzu!...

Nazajutrz wstał z przyzwyczajenia o świcie. Wyjrzał ze stodółki na wioskę różową od zorzy, jeszcze w cichym śnie pogrążoną, i zrobiło mu się jakoś i smutno i nudno. Po tych wielkich przygodach, po wspaniałych borach, skałach, wąwozach, po zbójnickich skarbach, po opowieściach Grzeli, jak to mieszkają w miastach ogromnych i bogatych, wydało mu się tu szaro, ubogo, zwyczajnie. Chaty niskie, słomianemi strzechami nakryte, przed niemi gnojówki i kupy śmiecisk, koło nich płoty krzywe, gdzienegdzie jaki mizerny kwiatek w ogródku albo drzewko koślawe z kwaśnym, małym owocem.

— Trza to wszystko zmienić! — pomyślał sobie. — Ale jak?.. Pieniądze mam, ale pieniądze łatwo ludzie rozdrapią, pić zaczną... Będzie więcej grzechu niż pomocy. Zresztą wiatr północny powiedział, żebym brał tyle tylko, co mi trzeba!... Ech, zacznę ja od siebie, a tam zobaczę, dowiem się, a może i zmądrzeję sczasem!...

Piórko sokole z kapelusika zdjął, kózce dukata wystukać kazał i zadworkami udał się niepostrzeżenie do miasteczka, gdzie przy niedzieli był targ. Wybrał sobie sukmanę, buty, czapkę, cały chłopski przyodziewek, jak się patrzy, porządny, ale zwyczajny. Na śniadanie już był w domu spowrotem.

— Jesteś?... A ja się zlękła, że znowu gdzie poszedłeś! — ucieszyła się matka, gdy wszedł przystojnie odziany i podał jej kupioną w miasteczku wiązkę obwarzanków.

— Powiedziałem, matulu, że zostanę!...

— Tak, to tak!... Gadasz do rzeczy, ale kto tam wie, jak

będzie!... A może Bóg da, że chmurę tę nad nami przeniesie!...

Spojrzała nań żałośnie i zakryła fartuchem drżące usta. Tomek się odwrócił, było mu przykro.

— Już wy, matulu, nie wypominajcie!... Co było, to było!...

— Juścić nie będę, ale ludzie to nieprędko zamilkną!...

— Przyzwyczają się i zapomną!...

— Dałby Bóg!...

Dzień cały chodził Tomek po gospodarstwie, oglądał, co jest, w pamięci sobie notował, czego brak, na palcach liczył, co trzeba zrobić, czego dokupić. Przedewszystkiem konia, krową, porządny statek gospodarczy.

Kiedy szedł przez ulicę, albo w zamyśleniu po miedzach krążył, sąsiedzi przyglądali mu się zdaleka, z pod oka, nieufnie. Cała kupa dzieci śledziła go z oddala. Ale, że chodził spokojnie, patrzał otwarcie, wesoło, — nie zaczepiali go. A kiedy nazajutrz wziął się do roboty, ten i ów z młodzieży okrzyknął go witając:

— Hej, Tomek, wróciłeś?

— A wróciłem!

— No i co?

— A nic. Będziem się dźwigać!

— Dopomóż ci Boże!...

— Bóg zapłać!

Wieczorami, wsparłszy łokcie na zapłociu, wypytywały wdowę sąsiadki:

— Cóż tam wasz Tomek, Jakubowa, wrócił?

— Wrócił, wrócił!... Robi!...

— I nic!... Nie pokazuje!...

— Zdrowiuśki. Wesoły, gwiżdże, ze mną żartuje!... Chce konia i krowę kupować!...

— A ma zaco?

— Ma. Złote widziałam u niego pieniądze!...

— I nie boicie się?

— Czego się mam bać. Chodził w świat i zarobił.

Gruchnęła wieść po okolicy. Jedni mówili, że Tomek skarb wykopał, drudzy, że w Ameryce moc pieniędzy zarobił, inni znowu dowodzili, że najpewniej ze zbójnikami chodził, a może jeszcze i teraz cichaczem chodzi.

Nawet strażnik z tego powodu do Tomkowego obejścia zajrzał, wdowę wypytywał i samego Tomka zagabnął.

— Gadają, że ty chodził do Ameryki bez paszportu!...

— Niech gadają!..

— Tak gdzież ty był?

— Gdzie byłem, to byłem!...

— Ty musisz mnie odpowiadać!... Takie jest prawo!... Tobie karę zapłacić naznaczę!...

— Naznaczcie, jeżeli możecie!...

— Kto to wie: ty może zbójnikiem był?

— A komu ja co złego zrobił? — odpowiedział Tomek i tak hardo spojrzał na strażnika, że ten się zastanowił. Tomek rozważał, czy nie puścić na dokucznika „muchy i osy“, a strażnik po spojrzeniu chłopaka wymiarkował, że może ludzie prawdę powiadają o jego „obłędzie“, o rzucaniu się na ludzi „z wyszczerzonemi zębami“. Dał więc spokój i poszedł sobie.

Spokojnie, jednostajnie upływał Tomkowi czas w pracy, w zabiegach koło podźwignięcia zaniedbanego gospodarstwa. Dwa konie kupił, nowy pług żelazny, żelazną bronę; sprowadził wóz kuty, matce krowę, co najlepszą z jarmarku przygnał. Wiodło mu się niezgorzej. Z sąsiadem, o miedzę, zaczął nawet gadać o kupnie przyległego gruntu. Drzewo zwoził na budowę

nowej chałupy. Ludzie nabrali do niego zaufania widząc, jak mu wszystko idzie, niby z płatka. Ten i ów przychodził na pogawędkę.

Ale im więcej mu się wiodło wśród ludzi i w gospodarstwie, tem większa żarła go wewnątrz tęsknota. Smutnemi oczami patrzał na świat i nieraz zdało się, że nie widzi tego, co się przed nim działo.

— Wszystko mam: krowę mam, kury, kaczki, gęsi... Jakbym chciała, tobym nawet indyka miała!... — spowiadała się na zapłociu wdowa sąsiadkom. — Kaszy, jagieł, mąki wszelakiej, ile chcę, zaraz mi skądsik wytrzaśnie... Przyprawa jakaś czy co potrzebna — zaraz jest na poczekaniu!... Ino sam on nie jest taki, jak należy... Coś go żre, coś go dusi!... Taki smutny, ani się uśmiechnie!... „Idź do karczmy!“ mówię, „potańcuj!...“ Ręką, macha. „Niech mi mama da spokój z karczmami! Tam ino smród z gorzałki!“ „Idź do sąsiadów!“ Milczy, głową kiwa. Zawsze sam. Z kózką się bawi, — ma taką! czarniuśką! Do niczego to — ani mleka, ani koźląt, ale lubi ją bardzo i ona chodzi za nim jak pies... Albo wiatraczek ogląda, takuśki sam, jaki wówczas przyniósł i połamał... Albo obrusek rozkłada — też podobny do tego, co go porąbał...

— Oj, Jakubowa, Jakubowa;... Biedniście wy!... Jest w tem coś, jest... — wzdychały sąsiadki.

— A najgorzej, gdy wyjmie te jakieś pokreślone szmatki... Wtedy wzdycha, elementarz, co już dawno kupił, wyjmuje, patrzy, patrzy, coś szepcze, aż straszno... — biadała wdowa. — A z tym elementarzem, to skaranie boskie, to nawet śpi z nim, to go nawet na robotę za pazuch nosi. Zamiast coby wywczasował się należycie, on nos weń wsadzi i po nocach nad nim ślęczy...

— A wybyście go ożenili!... — radziła kuma.

— Jużem o tem myślała i nawet mu przy okazji napomknęłam, żeby którą dziewuchę wziął... Mało to jest w naszej wsi ładnych i odpowiednich...

— A bo nie!... Czegóż to brak Marysi Szczęśniance? Albo Rózia Zaleszczanka nie chwat dziewczyna?!

— Gdzie tam!... Tylko zcicha gwizdnął i poszedł sobie!

— Jest w tem coś!... Oj, jest!... — wzdychały baby.

I znowu jakby zaczął się odpływ ludzi od Tomka.

On tego nie zauważył, zajęty pracą i swemi myślami. Na jesieni najął cieśli i zaczął z ich pomocą wznosić zrąb nowej chaty. Miała być wysoka, na podmurowaniu, z dużemi oknami, kryta czerwoną dachówką jak niemiecka kolonia. A obok chciał Tomek założyć ogród, nasadzić drzew owocowych, nawet kwiatów, żeby było niegorzej niż w szlacheckim dworze.

Wieczorami ślęczał nad książką jeden z cieśli umiał czytać i pisać, wskazywał mu; odtąd nauka poszła mu sporzej. Niezadługo już gładko czytać i pisać zaczynał. Książki w miasteczku kupował, gazetę zaprenumerował. Zasłynął w okolicy za mądrego. Przychodził do niego na budowlę ten i ów radzić się w swoich sprawach, w procesach, w gospodarskich biedach. Zajrzał nawet Gruby Maciek i Chudy Kuba.

— Co ty, chłopcze, w tych książkach wciąż szukasz, pieniądze darmo tracisz?

— Szukam, jak swój los poprawić!...

Maciek pokiwał w milczeniu głową, a Kuba rozśmiał się zgryźliwie:

— Nic z tego nie będzie! Chłop stworzon dla pana, a pan dla złodzieja!... Tak było od początku świata, tak i zostanie...

— Dlaczego? — oburzył się Tomek. — Wszystko się

wszędzie ulepsza, naprzód posuwa, tylko u nas jak było za króla Ćwieka, tak ma zostać?!...

— I to dobrze, kiedy człowiek choć swojej biedzie zaradzi!... Gdzie zaś o wszystkich myśleć!... — wtrącił cicho Maciek.

— Sam człowiek zosobna biedy nic zniszczy, zła, grzechu, nieszczęścia ani swego, ani cudzego nie wypleni!... Wszyscy odrazu dźwignąć się muszą!... — dowodził gorąco Tomek.

— Łatwo powiedzieć! Ale jak, ale jak zrobić?... — powtarzał Maciek, wciąż kiwając zwieszoną głową.

— Tego właśnie w księgach szukam, bo nie wiem!... — przyznał się skromnie Tomek.

— Tyle to i ja bez czytania wiem!... — rozśmiał się Kuba.

— A zawsze coś niecoś on tam wyczytał!... Patrz, jaką chałupę dźwiga i drzewek w ogródku ponasadzał!... — bronił Tomka Maciej.

— Zpieniędzmi to każdy mądry!.. — wstawił zgryźliwie Kuba.

Zaczerwienił się Tomek, ale milczał. Bolały go te ciągłe przytyki do jego niewiadomych skarbów, przyniesionych ze świata. Mówić jednak o wietrze północnym i jego darach nie mógł, gdyż rozumiał, że nikt mu nie uwierzy, a gadać jeno zaczną znów o jego warjactwie.

Zacinał zęby, pracował uparcie i czekał cierpliwie na sposobność, żeby ludzi do siebie przekonać, żeby ich sobie zyskać przez dobroć, przez okazaną pomoc, a wtedy z nimi razem królewnę wyzwolić.

Wyprowadził chatę pod dach. Roboty było mniej, a wieczory dłuższe. Odeszli cieśle. Długo zmagał się w sobie Tomek: dać czy nie dać do przeczytania piśmiennemu majstrowi owe listy

od królewny, drobnemi kreślone literkami. Chciało mu się strasznie dowiedzieć coprędzej, co tam w nich jest, a z drugiej strony bał się i wstydził. A co, jeżeli ona tam pisze o sposobie, jak ją od zbójników uwolnić? Gdy to się między ludźmi rozejdzie, a dostanie do jej stróżów, to nic z tego nie będzie! Chyba lepiej pocierpieć jeszcze trochę!

Nadeszły zimowe szarugi i długie noce. Huczał wiatr północny, siekąc strugami dżdżu po strzesze słomianej, po krzywych ścianach starej chałupy. Tomek przy lampie ślęczał nad książkami. I coraz jaśniej otwierał się przed nim świat szeroki, bardziej cudowny od najwymyślniejszej bajki, gdzie ludzie robili wymarzone rzeczy, gadali do siebie przez morza i góry, latali po powietrzu jak ptaki, piorunom kazali ciągnąć pociągi i obracać maszyny, wiatrowi północnemu pompować morza i oświetlać miasta, a wielkim wodospadom zimnych wód stać się ciepłem mieszkań i pokarmem zbóż.

Coraz łatwiej rozpoznawał Tomek pisane wyrazy i z wyblakłych, niewyraźnych zapisek królewny wyczytywał z drżącem sercem coraz więcej myśli:

...„Czekam na ciebie i wierzę, że przyjdziesz!... O przyjdź, przyjdź jak najprędzej... ale, jeżeli masz zginąć, wolę, żebyś wcale nie przychodził!...“

...„Ciepło wiosny zalata w okienko... Pachną lasy... Słońce złoci się po skałach, maluje chmurki, co płyną wolne po niebie... Jak wtedy, kiedy ty byłeś... Ale jakże ciemno, jakże smutno w mojej pieczarze!... Chodzę sama wśród wilgotnych ścian... Tykam ręką zimnych głazów... Nikogo, nikogo!... Może którego dnia wyginą na wyprawie zbójcy i nikt nie przyniesie mi więcej ani chleba, ani wody... Muszę więc pragnąć, aby istnieli ci, co żyją z mordu, z krwi ludzkiej, z ludzkiej

krzywdy, z rabunku i łez... Ach, wybaw mię, wybaw, abym mogła żyć jedynie ze szczęścia innych, abym mogła uśmiechać się do wszystkich i wszystkich kochać!...“

...„Przyjdzie zima — czytał znowu w innem miejscu — deszcze i śniegi zasnują dolinę, zakryją moje okienko, oczy moje ociemnieją od wiecznego mroku... Nigdzie świateł, ni ciepłego błysku... Pozostanie jedynie wspomnienie...“

Zerwał się Tomek.

— Wszakże to już zima!...

Żal, litość, tęsknota schwyciły go nagle za serce i powaliły na ławę. Przeleżał bezsenny do rana, wsłuchując się w cichy oddech śpiącej matki. A przed świtem wstał, zdjął ostrożnie z kołka swój worek podróżny, włożył doń bochenek chleba i kawał słoniny, wziął z kąta wierną ciupagę, pasem zbójnickim opasał biodra, na głowę wdział kapelusik z piórkiem sokolem, cuhę zarzucił na ramiona i lekko, jak cień, wysunął się za drzwi.

Po tygodniu nieobecności wrócił do domu bardzo zbiedzony i wychudły. Matka spojrzała mu w twarz, nie spytała o nic, ale widział, jak popłakiwała po kątach. Nie wiedział, jak pocieszyć starą, bo gdy żartem nawet wspomniał o swoich przygodach i podróżach, oczy matczyne robiły się okrągłe od przerażenia i patrzała na niego jak na warjata. Cóż dopiero, gdyby powiedział jej o swojem utrapieniu, o wyrzutach sumienia, że porzucił królewnę, że może ona już umarła, gdyż teraz, choć dotarł do strasznego, zasypanego śniegiem wąwozu, choć gwizdał i wołał na nią, nie mógł jej do okienka wywabić.

Tego wszystkiego, ani matce, ani nikomu powiedzieć nie mógł, musiał się więc sam męczyć ze swojemi myślami.

Ta jego zwiększona smętność i milczenie znowu zwróciły

uwagę i znowu zaczęły dziwne gadki między ludźmi chodzić. Wprost nie mówili nic, lecz wzdychali i kiwali znacząco głowami:

— Kto tam wie, gdzie on był?... Kto tam wie?... Może w Ameryce, a może i gdzie bliżej!...

Pod koniec zimy popłoch padł na równiny, gdyż zbójnickie napady niesłychanie się wzmogły i rozlewały coraz szerzej po całym kraju. Do Tomkowej okolicy jeszcze nie doszły, ale wyprzedzały je okropne wieści o okrucieństwie i chciwości rabusiów.

Pewnego wieczora zebrali się sąsiedzi u Tomka i zaczęli go wypytywać, czy on czasem nie wyczytał w księgach, jakiej przeciw zbójnikom użyć rady? Czy nie wie, do kogo na nich skargę podać? Albo czy nie lepiej ze samymi zbójnikami pokój zawrzeć i okup im roczny płacić?...

Tomek gorąco im to odradzał i dowodził natomiast, że wszyscy chłopi powinni się zmówić, pójść zbrojną obławą i zbójników wyłapać!

— Wtedy raz nazawsze rozbój ustanie!

Chłopi skrobali się w głowy.

— Kiedy to gdzieś bardzo stąd daleko! Ja tak myślę, że dopóki oni nas tutaj nie krzywdzą to i my ich nie mamy poco zaczepiać!... Może oni tutaj wcale nie przyjdą?... — zauważył ostrożnie Gruby Maciek.

— A cóż to za chwat to wojsko chłopskie do zbójeckiej krainy poprowadzi?... Może ty? — spytał szyderczo Chudy Kuba.

— A bogać, że poprowadzę!... — krzyknął Tomek, błyskając oczami.

Przyglądali mu się sąsiedzi czas jakiś w milczeniu,

wreszcie, wzięli czapki i wyszli.

Odtąd o zbójnikach przy Tomku nikt nie mówił, chociaż rozboje zdarzały się coraz bliżej i bliżej.

Razu pewnego, wróciwszy z targu, zastał nawet Tomek w swem obejściu tęgiego, czerwonego dziada, zajadającego na progu jajecznicę z rynki. Z tyłu w sieni stała matka i dawała Tomkowi tajemnicze znaki. Tomek spojrzał ostro dziadowi w oczy i odrazu poznał jednego ze zbójników. Ten również zauważył, że został poznany, zerwał się i, udając kulawego, zaczął coś skomleć. Ale w Tomku zawrzała krew.

— Na wywiady przyszedłeś, zbóju!... Dam ja ci, poczekaj!...

Skoczył do komory po puzdro z „muchami“, ale gdy wrócił, dziada już nie było i w opłotkach tylko się śnieg kurzył i drżały żerdzie, potrącone przez uciekającego draba w przeskoku.

— Mój Boże!... Cóżeś ty najlepszego zrobił?. Teraz to już napewno do nas przyjdą!... — biadała matka.

— A niech przyjdą!... — krzyczał Tomek, wygrażając pięści.

— Olaboga!... Żebyś w złą godzinę nie wymówił!

Tomek bez żartów przemyśliwał, czyby nie pójść z swojem puzdrem przeciw zbójom i wygubić ich na jakiej wyprawie. Wtedy może łatwiejby było wydobyć królewnę. Ale nie!... Gdyby kilku albo nawet jeden z nich został, to zdążyliby nietylko uciec drugą, stroną pieczary, ale i królewnę po drodze zamordować!... A przecież wiedział Tomek, że nigdy zbójnicy wszyscy nie wychodzą na wyprawę, że zawsze paru z nich albo choć jeden zostaje kucharzować i strzec skarbów. Trzeba jakoś inaczej obmyślić! Trzeba całą bandę do jednego odrazu wziąć, inaczej część pozostała nawerbuje sobie nowych towarzyszy i odrodzi się jak smok z głowy...

Przemyśliwał, jak to uczynić, układał sobie całe plany, ale nie wiedział, do kogo się zwrócić. Chłopi znowu od niego stronili, pieniędzy nawet pożyczać przestali.

Dzieci i młodzi parobcy wyśpiewywali mu z cygańska przez nos za plecami, ale tak, że dobrze słyszał:

Stworzył Pan Bóg młynek,
Żeby dobrze *mielił*...
Młynek nie chce dobrze mielić,
Mąka nie chce dziurką 1ecić...
Oj! Oj!
Stworzył Pan Bóg *koziem*
Żeby młynek strzelić...
Młynek nie chce mąkę mielić,
Mąka nie chce dziurką lecić...
Koziem nie chce młynek strzelić,
Oj! Oj!

— Za zbójnika mnie mają, za zbójnickiego pokrywcę, albo za warjata!... — powtarzał sobie z goryczą.

Jedynie dziewczęta stały po jego stronie, broniły go i uśmiechały się doń, gdy przechodził mimo.

Tymczasem minęła zima, stajały śniegi, powiały wiatry ciepłe; nastała gorąca pora robocza, siew, bronowanie. Ale i nastał zarazem przednówek. Widocznie i u zbójników wyczerpały się zapasy, bo coraz dalej zapuszczali się na niziny. Nikt nie był pewny swego życia i mienia. Już niedaleko od Tomkowej wsi spalili dwór; potem zabili kolonistę pod lasem i wszystko zrabowali mu w obejściu, nawet bydło i konie uprowadzili. Napadali po drogach na furgony z towarami. Nikt zasypiając nie był pewny, czy nie zbudzą go w nocy uzbrojone w noże i pistole draby. A najstraszniejszy, najokrutniejszy z nich był herszt; nikt nie wiedział, kto on, gdyż chodził w czarnej masce. Mieszkańcy wiosek modlili się, żeby Bóg chronił ich od moru, ognia, wojny, „nagłej i niespodziewanej śmierci“, dawali na mszę i, usłyszawszy o nowym rozboju, cieszyli się, że choć tym razem ocaleli. Nikt nie myślał o ratunku, o oporze.

— Bóg zmiłuje się!... Na wszystko jego wola!... — mówili posępnie chłopi.

Jeden Tomek psy czujne sobie sprowadził, na łańcuchu trzymał i gotował się do walki. Zbójnicy jednak nie zjawiali się u niego, a nawet obchodzili zdaleka jego wieś.

— Przyjdziemy tam na sam koniec, zrobić ostateczny porządek!... — wygrażali się wioskowcom przez dziadów, węgrów wędrownych i innych włóczykijów.

— A zaco?

— A jest tu taki jeden, na którego mają ząb!

Sąsiedzi domyślali się, że to o Tomka zbójnikom chodzi, i jeszcze gorzej się na niego gniewali:

— I bogaty!... I mądrala!... I uczony!... I ze zbójnikami zadziera!... Rozumu chce nas starych uczyć, a sam kto jest, niewiadomo!...

Raz, kiedy znowu chłopów do wyprawy na zbójników namawiał, powiedział mu Chudy Kuba:

— Lepiejbyś sam od nas poszedł, toby i nas nieszczęście ominęło!...

— Wtedy to oni was wszystkich wybiorą, jak wróbli!... — odpowiedział spokojnie Tomek.

— Cóżeś ty za taki nasz obrońca?

— A obrońca jestem!... — odrzekł dumnie Tomek ale ugryzł się w język, bo nie mógł przecie wszystkim o swoich „muchach i osach“ opowiedzieć.

Tymczasem wciąż przemyśliwał, jakby królewnę uwolnić. Bez ludzi tego zrobić nie można było, a ludzie stronili od niego i nie lubili go. Daremnie kazał matce potrzebującym dawać mąki, jagieł, ile chcą; daremnie pieniądze pożyczał. Chętnych do brania było coraz mniej, a ci, co przychodzili, byli ladaco, pijaczyska i próżniaki, lizunie. Z nimi na zbójników Tomek iść przecie nie mógł.

Schudł, zmizerniał z tej troski; nocami nie sypiał, patrzał na łuny zbójnickich pożarów i rozumiał, że to koniec jakiś okropny się zbliża, że tak dalej trwać nie może.

Nie wytrzymał i, choć nie miał jeszcze żadnego planu, ani przygotował się należycie, powiedział sobie:

— Niech co chce będzie!... Zginąć to zginąć! Pójdę sam z mojemi „muchami“!... Ale muszę się przedtem przekonać, czy

żyje!...

Wziął swój worek wędorowny, „puzdro czarowne“ i ruszył o świcie znaną drogą

Szedł po dniu, a nocami zaszywał się w gąszcze przed zbójnikami, którzy rozzuchwaleni bobrowali, jak dawniej tatarzy, nieustannie po całej okolicy. W górach zrobiło się niebezpiecznie. Nieraz leżąc w krzach słyszał Tomek, jak zbyrcząc ciupagami po kamieniach przeciągały mimo niego oddziałki drapieżników na rozbój, albo wracały z rozboju pokrwawione i osmalone, niosąc łupy. Radby wtedy na nich się Tomek rzucić, ale rozumiał, że z tego nic nie będzie, że ich zwyciężyć trzeba wszystkich odrazu w ich gnieździe, że w ten sposób tylko swój główny plan zepsuje, a natomiast siebie i królewnę zgubi.

— Niech jeszcze trochę pozbytkują! Niech pozbytkują!... — szeptał, zaciskając zęby.

Pół dnia przyczaił się pod zbójnickiemi oknami, zanim doczekał chwili, kiedy ucichły nareszcie hukania, głosy i kroki schodzących się zewsząd zbójników.

Była wiosna, było ciepło, potok szumiał jak żywe srebro; buki, brzozy, smereki, jawory zieleniły się wokoło; kwiaty cudnie pachniały, świegotały ptaki. Po błękitnem niebie płynęły łabędzie chmurki, a wszystko złociło wesoło łaskawe słońce.

Jakże inaczej wyglądał obecnie ten wąwóz, taki straszny w zimie!

Do serca Tomka wstąpiła otucha. Gwizdnął trzykroć przeciągle i czekał z bijącem sercem. Echo powtórzyło jego gwizdanie, ptaki przycichły na chwilkę, skaliste wiszary jakby drgnęły i ocknęły się. Długo, chciwie jak ryś, bojąc się

mrugnąć powieką, żeby czasem czego nie prześlepić, wpatrywał się Tomek w siwe opoki i czarne między niemi szczeliny. Nic. Cicho i nieruchomo. Ptaki znowu zaczęły śpiewać, a skaliska w ponowny sen zapadać. Już chciał Tomek głośniej powtórzyć gwizdnięcie, bez względu czy go usłyszą zbójniki czy nie, gdy nagle z najwyższego piętra wysunęła się z otworu blada ręka i rzuciła w powietrze biały płat. Serce w Tomku szarpnęło się i opadło, jakby umrzeć chciało. Wysunął się niebacznie z krzaków i z otwartemi ustami patrzał na wirującą w powietrzu szmateczkę. Ledwie ją zdążył schwycić, gdy usłyszał na ścieżce tu-tuż za sobą szybkie kroki goniących zbójników. Nie bał się ich, ale teraz, kiedy wiedział, że królewna żyła, nie chciał się z nimi spotykać, żeby nie utrudnić sobie uwolnienia wlęzionej. Kto to wie, co ona w tej kartce pisze?... Jak spostrzegą, że ona z nim porozumiewa się, to ją mogą zaraz zabić! Jak lis więc chyłkiem przemknął się za wodę, na drugą stronę i wśliznął w szparę pod głazem. Stamtąd widział dobrze, jak zbójnicy przetrząsali las, jak łazili wszędzie, szukając pilnie. Nie znalazłszy nikogo, wrócili, klnąc brzydko królewnę i tego wartownika, co ich niepotrzebnie zaniepokoił.

— Kos pewnie gwizdnął!... Albo sokół zakwilił!... A on zaraz gwałt!... Wyspać się nie daje!... Całą noc szliśmy!...

— Nic na to nie poradzi! Trzeba cierpliwości! Niedawno on w boru... Nieuczony!... Młody!...

— Wciąż się tego Tomka boją... A on co?... Miętus!... Gdyby mógł, toby dawno już przyszedł!...

Gdy głosy i kroki ich ucichły, Tomek wypełznął z ukrycia i poszedł lasem pośpiesznie zpowrotem. W bezpiecznem miejscu wyjął z zanadrza szmatkę, wygładził ją, i z trudem

odczytał niewyraźnie wyrazy nakreślone czarną sadzą.

„Już dorosłam. W tych dniach nowy herszt, Grzela, weźmie mnie za żonę, albo sprzedadzą mnie w dalekie kraje. Żegnaj, ukochany!“

Świat zakołował pod nogami Tomka.

— Pójdę, ofiaruję im całe moje bogactwo i wszystkie dary wiatru północnego, niech mi tylko oddadzą królewnę! — wyjęknął i już się zawrócił, ale rychło zrozumiał, że nic z tego nie będzie, że rozbójnicy, odebrawszy wszystko, zabiją go i wcale nie uwolnią królewny.

— Grzela nie przebaczy!... Więc przystał do zbójników?! I ten okrutnik w masce to się okazuje on?! Ach nicpoń!... Jak się dowie o mojej z królewną przyjaźni, będzie się mścił!... Jak to dobrze, że nigdy mu o niej nie mówiłem, że nie mówiłem nikomu!... Ale teraz ostatni nadchodzi czas, teraz powiem!... Trzeba się śpieszyć!...

Ruszył z miejsca i szedł tak prędko i bez wytchnienia, że w jeden dzień zrobił drogę dwudniową. Nie wstępując do domu, udał się zaraz do głównego swego wykpisza i nieprzyjaciela, do Franka Młynarczyka, który był wśród parobczaków wioskowych niby naczelnikiem.

Ubielony mąką Franek stał właśnie w progu młyna. Gdy ujrzał podchodzącego Tomka w zbójnickiem ubraniu, cofnął się trochę w głąb i udał, że poprawia pytle.

— Słuchaj, Franek, mam ważny interes. Chciałbym z tobą pogadać na osobności!... — zaczął prosto i szczerze Tomek, nie zważając na dąsy młynarczyka.

— Tutaj nikogo niema. Ojciec pojechał do miasteczka, a matka w izbie obiad gotuje... Możesz gadać!...

Tomek był tak zmęczony, że choć go Franek nie prosił,

przysiadł na worku mąki i zdjął ze spoconego czoła kapelusz. Cały młyn dygotał od roboty. Za ścianą szumiała woda, spadając z wysokiego upustu na wielkie koło. Trzeszczały pod podłogą obracając się grube osiska, klekotały, chwytając się zębami, tryby, kamienne żarna szurgotały, wirując jak wściekłe, a poniżej nich głucho bełkotały pytle, siejąc zmieloną mąkę. Biały pył zbożowy wznosił się wokoło w powietrzu, jak mgła.

Zanim Tomek zebrał myśli i opamiętał się w tym turkocie, minęła dobra chwilka, Franek czekał ciekawie.

— Czego ty, chłopcze, na mnie się gniewasz? Przecieżmy swoi, przecieżeśmy razem rośli? — spytał nagle Tomek.

— Wcale ja się nie gniewam, ino ty inszy, a ja inszy!... — oburknął, Franek.

— Jakto inszy?

— A tak: wędrownik jesteś, bogacz, mądrala... Do karczmy nie chodzisz, ani na tańce, ani na wypitkę... Coś ty za nasz?... Tyś inszy!...

— Dobrze. Niech będę po twojemu inszy, ale czy to wam od tego gorzej?... Co?... Czy wam dokuczam, przeszkadzam!...

— Co prawda, nie! Ale zawsze... wypominają, nam i ojcowie i dziewczęta!...

Tomek znowu chwilkę pomyślał; zrozumiał, że w ten sposób nie dojdzie do ładu z chłopakiem.

— Nie o mnie tu chodzi, Franek, doprawdy... Mogę sobie i odejść, jeżelim dla was taki zły, choć mi ciężko będzie rzucić ojcowiznę... Ale nie o mnie chodzi, lecz chodzi o wszystkich!... Czyż ty nie widzisz, Franku, co się dzieje? Codzień pożogi, rabunki, mordy!... Niepewni jutra ludzie przestali pracować, piją, wałęsają się i nawet sami przystają do zbójników... Reszta

płaci im haracz... Ale z tego nic nie będzie!... Nie zapchasz nigdy tych żarłocznych gardzieli, im więcej będą, płacić, tem więcej przybywać będzie zbójników, tem oni więcej będą żądać!... Wszyscy koniec końców zaczną na nich pracować jak niewolnicy, w nędzy, smętku, utrapieniu... Dziewczęta nasze, co ładniejsze, porywać będą i sprzedawać w niewolę w dalekie kraje, a nas samych zaprzęgną do jarzma, pochylą łby nasze do ziemi, żebyśmy o niczem nie myśleli, ino o pracy, o jadle i o śmierci...

— Gdzieby zaś takie okropności miały nastać?! Kto do tego dopuści?! — obruszył się Franek

— Powoli się to stanie, niepostrzeżenie... Dziś tego, jutro tamtego za łeb wezmą...

— I powiadasz, żeby mogli Maryśkę porwać?... — przerwał Franek.

— I Maryśkę i Rózię i Kasię... Każdą mogą porwać... A czy ty wiesz, kto to w masce im hersztuje? To Grzela szynkarz!... On tu każdy zakątek, każdy zadworek zna, od niego się nie wykręcisz!

— Co ty mówisz? Grzela?! A to ci łotr, to zdrajca!... A skąd wiesz?

Tomek wyjął z trzosika zapiskę królewny, wygładził zmarszczki ręką i położył na kolanie Franka.

Młynarczyk długo sylabizował.

— Jużciż, że tam stoi Grzela!... — szepnął w zamyśleniu. — I to prawda, że on nieraz na nią zerkał, kiedyśmy tańcowali w karczmie na odpuście w Jaworowie... A kto ci to pisał?..

— Jedna dziewczyna... królewna!... — poprawił się, rumieniąc, Tomek. — Ona nie chciała im, zbójnikom, kucharzować, pomagać w ich krwawej robocie, więc oni ją

uwięzili w ciemniuśkim lochu i wielkim przywalili głazem... Tam więdnie oddawna...

Przerywanym głosem opisywał Tomek cierpienia królewny i jej śliczną postać. W dobrych, niebieskich oczach Franka błysnęły łzy.

— Widzę ja, że my z tobą, Tomek, niepotrzebnie się gniewamy... Bo miarkuję, że ty wcale o Maryśce nie myślisz, choć kuma mówiła jej, że twoja matka ma ją za ciebie swatać!... Odtąd dziewczyna patrzeć na mnie nie chce!...

Tomek zmieszał się, gdyż o tych projektach już wiedział.

— Ani mi w głowie!... — rzekł z niechęcią. — Tem bardziej, skoro wiem, że ty chcesz się z nią żenić!

— Dobry jesteś, Tomku!... Ale jak pomóc królewnie, doprawdy nie wiem?...

— Mam broń, mam przygotowaną amunicję, zapasy, wszystko w worach... Chodzi o to, żeby chłopaków zebrać, zmówić... Już my im łatwo damy radę, wszystkie tam drogi, wyjścia i przejścia znam...

Franek zamyślił się.

— Dobrze. Chłopaków ja dziś wieczorem zwołam... Ale ja ich znam!... Na gołe słowo oni nie pójdą. Musisz im te swoje zbroje i amunicje pokazać. To ich zachęci... Idź więc duchem do siebie i zwlecz wszystko do gaiku na odwieczerz... To tam przyjdę z chłopcami! — powiedział wreszcie z rozwagą Franek.

Tomek mocno uścisnął mu rękę i ruszył natychmiast do siebie.

Miał dźwigania niemało: broni, prowjantu i rynstzunku dla dwudziestu nieomal chłopców. A musiał jeszcze robić to ostrożnie, kryć się, chodzić naokół, miedzami. Nie skąpił

jednak trudów i przed wieczorem wszystko porządnie leżało schowane w cierniowych krzach na skraju małego lasku.

Jeszcze wieczorna nie zgasła zorza, jak zaczęły się schodzić chłopaki. Jeden w drugiego na schwał, rosłe, młode, wesołe. Ale przychodzili cicho, bez swywoli i siadali popod sosnami poważnie. Dziwno jakoś poglądali na Tomka, który nigdy w ich kompanji nje bywał, a teraz miał na sobie nadomiar zbójnicką odzież.

Kiedy przyszedł Franek i wyłuszczył im, o co chodzi, długo milczeli, zaskoczeni propozycją i nawet trochę przestraszeni. Dopiero gdy Tomek powynosił z krzaków worki, pistolety, ciupagi, ładownice, rozruszali się, jak to przewidział Franek, zaczęli rzeczy oglądać, rozpytywać się, przymierzać i gadać.

— Zapewne, że zbójniki szelmy są i należy ich ukrócić!...

— I to prawda, że w pojedynkę to nas wszystkich zmogą...

— A bogać!... Zabili przecie Wiktora, choć silny był chłop!...

— A powiedzcie, poco ten u was rożek mosiężny? — spytał jeden Tomka.

— A poto, żeby sygnały grać, kiedy się schodzić, kiedy rozchodzić, kiedy w jaką stronę zawracać... My musimy nauczyć się wszystko robić, jak zbójnicy, inaczej ich nie pobijemy... Jak pójdziemy, to wam w drodze pokażę... Jeszcze się porządnie wyuczyć zdążymy... Trzy dni drogi!...

— A skąd ty, Tomku, to wszystko wiesz? — pytali podejrzliwie.

— Zabrali mnie. Kazali mi u siebie kucharzować. Tom się napatrzył, jak to oni się uczą w swojej pieczarze!... Potem uciekłem!....

— Aha!... To dlatego po zbójnicku do nas pierwszy raz

przyszedłeś?...

— A widzicie!...

— Źle, żeś nam odrazu tego nie powiedział... Myśleliśmy całkiem co innego...

— Wiem. Bolało mnie wasze myślenie, ale nie pora była jeszcze powiadać, głupi byłem...

Zaczęli się ku niemu chłopcy garnąć, żądając opowieści o zbójnikach, o ich napadach, wybiegach, pieczarach, okrucieństwach. Opowiadał im Tomek, co wiedział; opowiedział wreszcie o królewnie, o jej niewoli; o tem, że wszystkich taki los czeka.

Rozgorzały chłopcom oczy.

— Idziemy, zaraz idziemy! — krzyczeli.

— Jeszcze ją ten Grzela zagubi!... Znamy go! Zawsze nam podwójną kredą długi pisał!...

Nocą byli już w wielkim lesie, przespali się trochę, a o świcie zrobił Tomek pierwszą próbną naukę, jak chodzić, jak zawracać, jak nabijać broń, nosić ją... i używać. Na każdym wypoczynku powtarzali to samo, a koło starego karczmiska to takiej narobili strzelaniny, że o mało nie zwabili strażnika. Widzieli zdala, jak wyjechał z wioski na drogę i nos, węsząc, obracał na wszystkie strony. Ale w porę skryli się w gęstwinie.

Na podgórzu już mniej strzelać mogli. Trzeba się było wystrzegać zbójników, żeby nie wywiedzieli się zawczasu i nie przygotowali zadobrze na ich spotkanie. A gdy weszli w góry, w jary i skalne złomy, wielu humor straciło, gdyż pierwszy raz widzieli takie wysokości i w głowie im się kręciło. Rychło jednak przyzwyczaili się, tembardziej, że Tomek prowadził ich tu bardzo powoli, wysuwając się wciąż naprzód na zwiady, albo wysyłając Franka, który w lot wszystko pojął i nauczył się

doskonale.

U okien zbójnickich narysował Tomek Frankowi na papierku cały plan: gdzie prowadzi gzemsem skały dróżka do pieczary, jak zdołu poznać, gdzie wejście do niej, gdzie zbójnicy stawiają swe warty i jak ich się wystrzegać, Poczem podzielił chłopców na dwa oddziały, codzielniejszych i silniejszych wziął ze sobą, a resztę oddał Frankowi.

— Pójdziesz i zaczaisz się w dole przed ich pieczarą. A kiedy dwa strzały się w górę rozlegną, pal do nich z gęstwiny z pistoletów i hukaj, ile sił starczy, zbyrcz ciupagami po drzewach i kamieniach... Ale niech chłopcy blisko nie podchodzą, bo będą na nich zbójniki z góry kamieniska walić i mogą wielu potrącić, a nawet zabić... Na grań, na dróżkę też niech się nierwą, bo ich stamtąd po jednemu pozrzucają... Choćby był w pieczarze nie wiem jaki gwałt, niech stoją na dole w ukryciu, i dopiero jak zbójniki zaczną sami po gzemsie uciekać, łapcie ich po kolei i wiążcie w łyka... Pamiętajcie, nie wydajcie się przed czasem, siedźcie cicho jak koty!...

— Owa!... My pójdziemy tak cicho jak myszy!... — szepnął śmieszek Szymek.

Wszyscy się też rozśmieli, pożegnali grzecznie i rozeszli w swoje strony.

Bardzo ostrożnie prowadził Tomek swój oddział wąwozem. W końcu jego, gdzie las rzedniał, wypatrzył wywróconą wichrem smereczynę, wymierzył długość krokami, kazał chłopakom ją z kory i sęków oczyścić i ponieść ze sobą. Dziwili się chłopcy i nawet trochę wyrzekali, że im każe ciężką belkę na taką górę wciągać, ale wytłumaczył im, że będzie potrzebna, że sami niedługo zobaczą... Mówić im więcej nie chciał, bo się bał, że przestraszą się przed czasem wodospadu i

nie zechcę drapać się na urwiska. Istotnie już ich po drodze bardzo sam szum niepokoił, a gdy znaleźli się na krawędzi przepaści, gdzie z zawrotną szybkością i nieopisanym rykiem zlewała się spieniona rzeka, wielu przysiadło z pobielałemi twarzami na ziemi i nie śmiało się nawet zbliżyć do krawędzi, nawet spojrzeć.

Tomek kazał im wypocząć, wyjąć prowizję z worków i posilić się. Sam tymczasem zdjął z ramion mocny sznur, którym był opasany, zaciął na końcu belki wręby i sznur za nie przywiązał. Przyglądali się jego robocie towarzysze, nie rozumiejąc, co to wszystko znaczy.

— Jakże my na tę górę pójdziemy? — spytał się wreszcie jeden nieśmiało.

— Tędy pójdziemy!... — odpowiedział ostro Tomek i pokazał mu palcem na wodospad.

Chłopcy spojrzeli po sobie, poczem znowu z pod oka na Tomka, jak to niegdyś patrzyli na niego w swej wiosce.

— No, no!... Nie bójcie się!... Nie myślcie, żem zwarjował... Nie taki djabeł straszny, jak go malują. Widzicie ten łańcuch na skale pod samym progiem wodospadu?... Po tym łańcuchu na rękach ja przejdę na drugą, stronę, przeniosę ze sobą, koniec sznura i za ten sznur belkę przeciągnę... Tylko musicie dobrze pilnować, sznur powoluśku puszczać, żeby wciąż leżał przy skale napięty, bo inaczej woda go porwie i mnie zrzuci... A belkę jeszcze wolniej, jeszcze ostrożniej będziecie puszczać... Niczego się nie bójcie! Tam koło skały pęd wody niewielki. Ona łukiem się w powietrze wyrzuca. Tam był mostek, tylko ja go, uciekając, do wodospadu zepchnąłem... Znajdziecie wysieczone w skale gniazdo i koniec belki w nie włożycie, a potem kolejno, trzymając się żelaznego łańcucha, łatwo

przejdziecie... Nie chybajcie się tylko, choć wam woda nieraz twarz zaleje! Nie strachajcie się. Niewięcej wam zaszkodzi jak ulewny deszcz!... Nos przytulajcie do skały, tam i powietrza więcej!...

Widząc jak żartuje i jak śmiało do ryczących wirzysków podchodzi, nabrali towarzysze otuchy. Jeden najzręczniejszy wziął się sznura pilnować; reszta dźwignęła w górę bal i ułożyła go na występie skały przy łożysku dawnego gniazda.

Tomek zdjął cuhę, worek, ładunki i broń, oddał je jednemu z chłopców do pilnowania, podpiął sprzączki pasa, obmacał się, czy mu co nie sterczy, nie wisi, o co mógłby się zaczepić, koniec sznura z tyłu do pasa przywiązał i zanurzył się pod płachtę lecącej wody. Zakryły go natychmiast frendzle bryzg i kłaki piany; stracili go z oczu towarzysze i tylko po ruchu i szarpaniu sznura domyślali się, że śmiałek posuwa się naprzód. Po kwadransie sznur się mocno naciągnął, wtedy zrozumieli, że trzeba puszczać belkę, gdyż o wołaniu wśród piekielnego ryku odmętów nikt nawet nie pomyślał. Do tego ryku już się zresztą przyzwyczaili i dość zgrabnie puszczali belkę za sznurem, przyciskając ją do skały. Raz tylko zaczepiła się im o jakiś występ, ale Tomek rychło zawadę usunął. Gdy belka legła kolcami w gniazdach i Tomek, przeszedłszy po niej, zjawił się znów wśród towarzyszy, chcieli wrzasnąć „wiwat!“

Ledwie zdążył ich wstrzymać.

— Co wy robicie?! A skąd wy wiecie, że tu gdzie za węgłem nie stoi ich wartownik?... Może on nas nie widzi, jak my jego, ale nas usłyszy... Teraz, chłopcy, znowu sobie podjedzcie i napijcie się dobrze, gdyż o jedzeniu prędko być mowy nie może...

Worki tutaj zostawicie, pójdziecie z bronią tylko!... Jeden

przy workach zostanie i kładki będzie pilnował... Niech strzela każdemu w łeb, kto się będzie zbliżał, a hasła nie powie... A hasło pamiętajcie, jakeśmy się z tamtymi towarzyszami umówili: — „królewna“!... No, marsz w drogę!

Bez trudności przeszli wodospad i Tomek poprowadził ich, świecąc latarką po tych cudnych przejściach, grotach, korytarzach, któremi sam wówczas uciekał. — Czerwone znaki wszędzie wskazywały im drogę. Nieraz chłopacy chcieliby się zatrzymać i podziwiać, rozejrzeć po tych cudownościach, ale Tomek nie pozwalał.

— Potem, potem będziecie oglądali dowoli!...Teraz iść za mną, cicho, nie gadać!...

Kiedy znaleźli się w Grocie Tęczowej, zebrał oddział, obejrzał, czy każdy ma w porządku ubranie, broń, naboje i wydał rozkaz:

— Będziecie stali z dwóch stron w szeregach tam u otworu z mieszkalnej pieczary zbójnickiej. Jak kto się stamtąd pokaże, za łeb go, gębę zatkać i wiązać tym oto sznurem... Nie strzelać i nie żgać!... Chyba on zacznie pierwszy... Nie rozmawiać i nie ruszać się... Trzech niech ze mną idzie... Wieczór już — czas zaczynać!... Zbójniki niedługo wyjdą na rozbój, albo wracać będą niektórzy, mogą tamtych naszych zobaczyć i napaść na nich!... Królewny poszukamy potem, już w spokoju...

Odszedł z trzema towarzyszami wprost do pieczary, gdzie królewnę naówczas znalazł. Serce tłukło mu się w piersiach jak młot, ale nie dawał po sobie poznaki. Kamień u celi był odwalony, cela pusta. Wszedł do niej, wysunął rękę z pistoletem przez okno i strzelił raz i drugi... Potoczyło się echo jak grzmot, obijając o turnie i zręby, opadło na szumiący w dole potok, na ciemny, nieruchomy bór, na którym tu i tam

płonęły jeszcze krwawe połyski zorzy wieczornej.

I niebawem zatrzeszczały za skalną ścianą liczne salwy i wyleciały stamtąd głuche ludzkie okrzyki. Potem z góry odpowiedziały głośniejsze strzały rusznicowe.

— To zbójnicy!... Biją się! — szepnął, przysłuchując się, Tomek — Ja wrócę, a wy tutaj zostaniecie. Jeden będzie przysłuchiwał się, a drugi tymczasem skoczy i powie nam, co słychać... Kiedy ten wróci, to tamten pójdzie... I tak wkółko, żebyśmy wiedzieli, co się dzieje!... Rozumiecie?

— Rozumiemy!...

W głębi pieczary, gdzie czaił się oddział, cisza panowała głęboka. Słychać było jedynie krople wody, kapiące gdzieś tam z sopli kamiennych, oraz głuchy, jednostajny ryk dalekiego wodospadu... Zzewnątrz nie przenikał żaden dźwięk. Zresztą czaty doniosły im rychło, że strzały również ustały.

— Zuch, Franek oszczędza naboi!... Zbójnicy nie tacy głupi, nie zejdą!... Prędzej tędy wyjść będą chcieli i na tamtych z tyłu napaść!...

Ale i tędy długo nie szli zbójnicy. Schował Tomek latarkę za wyłom i, przysiadłszy na ziemi, rozmyślał, co się dzieje z królewną i jak ją odszukać?

— Gdzie oni ją mogli schować?... Skąd wychodzi to górne okienko, w którem błysnęła ostatnim razem jej ręka?... Nigdzie tu nie widać żadnych pięter! Ale ja ją znajdę, choćbym miał każdą w górze szczelinę obejrzeć, znajdę ją!...

Czas dłużył się bardzo, grobowa cisza wciąż zalegała pieczary. Wtem czarny cień zamajaczył przed Tomkiem.

— Naczelniku, ktoś idzie, pełznie dziurą!... — szepnął cichutko.

Tomek wstał, poszedł do oddziału. Było słychać coraz

wyraźniej, jak przez wąską szyję z głębi góry ktoś przedzierał się, ciężko dysząc i chrobocąc. Przyczajeni w ciemnościach u skał nie widzieli go, lecz odgadli po szmerach, że jest już bardzo blisko, że lada chwila stanie wśród nich. Wreszcie poczuli go między sobą; jednocześnie Tomek otworzył swoją latarkę i rzucił snop światła na otwór szczeliny. Stał w nim rosły zbójnik w pełnem uzbrojeniu, z rusznicą w ręku i przerażonemi oczyma spoglądał na światło. Zanim opamiętał się, już go schwycił dziesiątek silnych rąk, rozbroił, powalił, związał i odciągnął za węgieł. Światło Tomek przygasił natychmiast, gdyż z otworu nowy dolatywał chrobot.

I powtórzyło się tak pięć razy. Pięciu zbójów siedziało związanych pod ścianą i posępnie spoglądało na nieznanych im napastników.

Tomek świecił 1atarką i zaglądał im w oczy. Niektórych poznawał:

— A to ty, Olesiak!... Co słychać?... Jakże wam bacuje Grzela?.. Czy przyjdzie tutaj was więcej? Czy tam na nas poczekacie?!... Naczekaliśmy się was dosyć, przyszliśmy teraz sami do was! Gdzie „Królewna“? Gadajcie!...

Zbóje milczały, tylko oczyskami łypały na młodych chłopaków.

— Kuchto!... — rzekł wreszcie jeden z nich wyniośle. — Nic się od nas nie dowiesz, my nie tacy!...

— To was strącim do wodospadu, a góra przed nami nie ucieknie, przetrząśniemy ją, że szpilkę znajdziemy...

— Znowu strzelają!... — raportował wartownik od okna.

— Znowu idą!... — szeptał drugi z głębi pieczary.

Tomek zostawił przy jeńcach jednego z nabitą bronią, a resztę poprowadził natychmiast do otworu. Przyczaili się jak

przedtem u ścian. Znowu w błysku latarni pojawiła się rosła postać górala i po krótkiem szamotaniu padła, opasana dziesiątkiem ramion, ale widocznie pełznący za nim towarzysz coś usłyszał, gdyż zatrzymał się, a następnie czatownicy odróżnili wyraźnie cofający się pośpiesznie szelest.

— Dalej, towarzysze, chodźcie! Już tutaj nic nie będzie... Niech przy otworze zostanie dwóch i pali w łeb każdemu, kto się pokaże, a wy reszta chodźcie tu... Przetulniemy do otworu ten oto głaz, żeby nie mogli wyleźć z pieczary i napaść na nas... Przyniesiemy ze skarbca zbójnickiego łomy żelazne i smolniaki; jest ich tam poddostatkiem...

Oświetlili pieczarę przyniesionemi pochodniami. Podważyli drągami wielkie głazisko, co leżało nieopodal i którem przedtem pewnie zamykano w potrzebie otwór tajnego wyjścia. Niezadługo ciężka opoka legła na dziurze jak wieko.

— A teraz wstawajcie!... — zwrócił się Tomek do zbójników.

Nie ruszali się.

— Myślicie, że będziemy z wami żartować?! Hej, chłopcy, bierzcie pierwszego z brzegu!

Chwycili pod ramiona i podnieśli chłopaka, niewiele co starszego od nich, bladego jak chusta.

— Gadaj, gdzie Królewna?

— Nie wiem!...

— Prowadźcie go do wodospadu!... — kazał Tomek.

Dwóch parobczaków poprowadziło go w ciemności; nie opierał się.

— Drugi z kolei!...

— Sam wstanę, nie szarpcie!...

Był to stary, siwy już zbójnik. Wyprostował się, popatrzał na

skupioną, wkoło niego młodzież i potrząsł głową,...

— Nie topcie, panowie, tamtego, nie topcie!.. Powiem... Dlaczego nie powiedzieć?... I tak przegrana nasza!... Poco tylu ludzi dla jednej dziewki gubić?...

— Małoście to ich nagubili?!...

— My straceni ludzie, ale wy... Nie potrza wam takiego początku robić, nie należy!... Poprowadzę was, sam poprowadzę, po dobrej woli!..

Tomek gwizdnął na tych, co odeszli, kazał zbójników dobrze pilnować, a sam z kilkoma, którzy wzięli między siebie starego, poszedł we wskazanym kierunku, świecąc pochodniami. Na jednym z ganków wapiennych już pod sklepieniem groty, na przyczółku, w ciemnym dalekim kącie, dokąd ledwie po miesiącu szukania możeby się udało komu wypadkiem dostać, odnaleźli wielki głaz. W szparze poza nim świeciły ludzkie oczy. Gdy go odwalili, ujrzeli na progu białe widmo kobiece z rozpuszonemi złotemi włosami.

— Czego chcecie?

— Przyszliśmy cię uwolnić, królewno!... — szepnął Tomek.

— Nie pójdę!... Powiedziałam, że nie pójdę!... Możecie mnie zabić!... Doprawdy, lepiej zabijcie mnie odrazu! — prosiła żałośnie.

— To ja, Tomek!... Nie poznajesz mnie, królewno?!... Świećcie, chłopcy, świećcie!...

Spojrzała nań szeroko rozwartemi oczami i zaczęła drżeć jak liść osinowy. Duże perły łez potoczyły się po jej bladych jak marmur policzkach. Tomek ujął ją ostrożnie za rękę i poprowadził za sobą.

Zabrali skarby zbójnickie i ujęli wszystkich zbójników, gdyż ci, przywaleni głazem, strzeżeni zewnątrz przez Franka

Młynarczyka, zmorzeni głodem, poddali się niezadługo.

Uspokoiło się w kraju; przestały gorzeć po nocach łuny, przestali obawiać się ludzie.

Tomek ożenił się z królewną.

Za skarby zbójnickie pobudowali oni gęsto po całym kraju śliczne pałace-szkoły, ochronki, muzea, jasne, czyste jak świątynie fabryki, a wokoło wszędzie mnóstwo domków w {pp|cud|nych}} cudnych ogrodach, pełnych kwiatów i drzew przepięknych, wodotrysków, posągów i innych piękności... Wszyscy mieszkali w takich domkach... Ziścił się sen Tomka dzięki nowym prawom, jakie wprowadziła królewna. Znikły brzydkie, cuchnące gnojówki, odrapane, krzywe chatki, obrzydliwe, błotniste miasteczka... Zniknęła powoli złość, zawiść. Ludzie nie rozumieli, że można się wzajem krzywdzić i zabijać... Nawet zbójników na prośbę królewny ułaskawiono. Tylko tych najbardziej zatwardziałych, co to dla nich krew ludzka stała się jak woda, zamknięto w miejscu przestronnem, otoczonem wysokim murem. Każdy tam miał domek i ogródek, który mógł uprawiać. Niewolno mu było jedynie wychodzić za bramę. Był tam między nimi i Grzela. A szynkarka przepadła bez wieści; powiadali, że została czarownicą.

Tomek z królewną mieszkał w takim samym domku jak inni i było im bardzo dobrze. Wyprawił sute weselisko, na którem po raz ostatni „rozłożył się“ i zastawił gościom ucztę cudowny obrusek. Kózka już nie wystukiwała dukatów, bo te nie były potrzebne. Wiatraczkiem bawiły się dzieci Tomka i królewny, gdyż wszystkim dostarczał poddostatkiem mąki pan Franciszek Młynarczyk, zarządzający spółkowym parowym młynem i piekarnią.

Matka Tomka, Gruby Maciek, Chudy Kuba, Jagna

Znachorka i inni starzy sąsiedzi bardzo postarzeli, zgarbili się, dużo spali... Chodzić mogli jedynie wolniutko i mówić cichutko. Czasem zbierali się gromadką, siadali gdzie na ławeczce na słoneczku i gadali o dawnych czasach. Wtedy skupiały się zaraz koło nich dzieci i słuchały ciekawie tych strasznych bajek o zbójnikach, o szynkarkach, o strażnikach, o mordach, pożogach, grabieżach, o niewoli ludzkiej, o ludzkiej nędzy i głodzie, krzywdzie i ludzkiej złości, których w tym kraju zupełnie już nieznano.

Tutaj każdy pamiętał o wszystkich i wszyscy o każdym... I nawet wiatr północny, przelatując nad tym krajem szczęśliwym, łagodził swoje zimne podmuchy.



Przypisy

1. ↑ Ceprami albo lachami nazywają górale mieszkańców nizin.
2. ↑ Kurniawa — sypki śnieg, śnieżny kurz, niesiony przez wiatr, wyglądający jak „kurzawa“.
3. ↑ Krótki płaszcz sukienny.
4. ↑ Bajeczne kamienie, które miały same gorzeć i świecić jak ogień.
5. ↑ Raczki, krzywe żelazka, podobne do haczyków, które górale podwiązują pod obuwiem, aby ułatwić sobie chodzenie po twardym, śliskim śniegu.
6. ↑ Mała jaskinia, gdzie można schronić się od wiatru i niepogody.
7. ↑ Ogromne rowy. wyżłobione w stromych bokach górskich przez wodę lub lawiny, zwykle zasypane drobnemi kamieniami (piargiem), albo zawalone ogromnemi głazami (maliniakiem).
8. ↑ Jeziora górskie dostają od chmur, od słońca, od wiatru kolistych deseni,

podobnych do blasku i koloru pawich piór — „pawią się“, jak mówią górale.

9. ↑ Wodospady.
10. ↑ Wiszar — wysoka prostopadła, albo zwisająca ściana urwiska.

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

Wersja źródłowa tego e-book-a znajduje się na stronie: Dary wiatru północnego

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wieralee

- Ashaio
- Anwar2
- Ankry

---

1. ↑ http://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium